

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 30 IV. 1950 r.

Nr 17 (248)

W NUMERZE

ST. TAZBIR — Czytelnictwo Z. HIEROWSKI — Teatr czesko-słowacki
WŁ. MACHEJEK — Tematy reportażu R. ZIMAND — Krytyka i publicystyka
K. DĘBNICKI — Na konkurs „Wsi” L. GOLINSKI — Pokaż sojusznika
E. NIZIURSKI — Próba charakterów ST. MĘDELSKI — Czy powieść proletariacka
N. HIKMET — Pada śnieg M. WIELGUS — „Międzynarodówka zdrajców”



Wincenty Pstrowski

I

Dużo się u nas ostatnio mówi i pisze o potrzebie, nagłej potrzebie wychylenia się ludzi pióra poza mieszczańskie rogatki.

Perspektywa odslania się jasna: pisarz pochodzący z klasy mieszczańskiej ma tylko dwie drogi do wyboru: trudniejszą, nieraz bolesną: mozolne karczowanie starych, wstecznych, oportunistycznych nawyków, drogę wymagającą z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień niemal pogłębiającej się świadomości wspólnoty nierozdzielnej z idącą dzisiaj szturmowym krokiem klasą robotniczą. I drugą łatwiejszą: odwrócenia się od tej klasy, do mas ludowych pleców. Trzeciej drogi nie ma i nie będzie.

Chciałbym powiedzieć o tym kilka słów od siebie: tak się szczęśliwie składało, iż rok rocznie, począwszy od roku 1946-go spędzałem pewien okres na wyprawach w tak zwany „teren”. Dzisiaj, gdy spoglądam za siebie wstecz, mam o tym wyraźnie wyrobione zdanie.

Ogarnia mnie uczucie skąpcy, którego w półście przeciekały przez ręce drogocenne kamienie, a on ich nie dostrzegł, nie uchwycił, nie zatrzymał.

Patrzyłem okiem zaskokowanego drobniomieszczańskiego biesa. Ludzie zwycięskiej klasy w moim pisarskim polu widzenia jak cienie chodzili po dalekim horyzoncie. Wszystko zalewało, w gruncie rzeczy wydmuchano, sztuczny, pełen barokowych florisów — opis. Do tego dochodziła szczypta jurności młodzieńczej i nie uporządkowanej, często wprost chaotycznie wydatkowanej energii twórczej. Tak było na wybrzeżu, tak było i w hucie „Pokój” w Nowym Bytomiu, tak było i przy moście Pomiatowskiego.

Niezrozumienie klasy robotniczej rozdziło i pisarski lek i niezaradność. Stąd krok tylko dzielił od tchórzostwa. I dezertowałem, wykręcałem się sianem, podobnie jak dezertowała w przezwajającej części, jak wykrywała się sianem klasa, która mnie wydała.

W następnym roku przyszedł Pstrowski. Pamiętam, mało tego, do dzisiejszego dnia chowam uczucie raniącej, przegromionej winy wobec tego człowieka. Oto odkrywała się przede mną wielka, tytułowa bodajże karta historii socjalizmu w naszym kraju. Byłem przy tych narodzinach i znowu ślepotą ideologiczną przesłoniła mi wzrok.

Gdy dzisiaj przeglądam te skąpe i nieporadne kartki, jakie wówczas zapisałem o nim, znowu pełne naskórkowej obserwacji, czuję się z kolei jak człowiek, któremu zaufano i złożono w ręce skarb, a on go lekko komyślnie roztrwonil.

I znowu rok następny: od Zgrozelenia po Lesko gadałem i żyłem przez bez mała półtora miesiąca z ludźmi, którzy wiele doprawdy krwa wego trudu włożyli w dzieło utrwalenia dyktatury proletariatu. Widziałem wielokrotnie mogiły zabitych, ich smutne żony, popalone chałupy. Uczylem się od nich prawdy o walce klasowej.

Poznałem ohydę i zbrodniczość imperialistycznych knoan nie tylko ze szpalt gazetowych, nie z komunikatów radiowych mówiących o Indonezji czy Grecji, ale z prawdy doświadczonej, leżącej na odległości wyciągniętej ręki. Czyż w osiągnięciu tej rzeczywistości przejawiałem jakąkolwiek własną inicjatywę? Nie.

To klasa robotnicza cierpliwie i wyrozumiale w swym wielkim humanizmie rozkładała przede mną obrazkowy elementarz prawdy o naszym życiu i jego walce.

Zrozumiałem wówczas i tę prawdę podstawową, niezachwianą:

że miłość, że poczucie wspólnoty losów nie wystarcza, że to przede wszystkim zobowiązuje. Bez zgłębienia teoretycznego i praktycznego ideologii klasy robotniczej, bez rozpoczęcia pracy nad sobą, nie pójde naprzód. Ugrzęźnę w bagnie swojej przeszłości, swojej klasy. Trzeba się

PIÓRKOWSKI JERZY

OJCOWIE BUDOWY SOCJALIZMU

było uczyć, uczyć i jeszcze raz od klasy robotniczej uczyć.

Dzisiaj, gdy piszę te słowa, robię to z jeszcze większym przekonaniem. Ale zaległości moje w miarę prób ich pokonywania nieustannie wydają się rosnąć.

Myślę, że tylko w codziennym życiu, w codziennym mozołie rwać można ową pępowinę próbującą mnie przytrzymać przy świetle, który mnie wydał. Przyszedł czas, gdy zrozumiałem także prawdziwy sens swoich akowskich ran.

Prawdę o mojej roli i mojej pozycji odczytałem na salach sądowych, w trakcie przebiegu wielkich procesów politycznych ostatnich lat. Tak to od bojowego występowania w obronie żołnierskich intencji — doszedłem do obiektywnego zrozumienia sensu swojej roli i swoich ran, jakie otrzymałem wysługując się faszystom. Dopiero wówczas zrozumiałem źródło swojej ideowej impotencji, swoje błądzenie przez wiele lat.

Partia znowu pomogła. Dzisiaj wiem, co w życiu warte jest miłości i oddania, a co — nienawiści i wzdargi. Tak uzbrojony idę do nowego człowieka. Wbrew pozorom, wbrew chronologii i faktom — po raz pierwszy...

II

Nowy człowiek w Polsce to znaczy: człowiek budujący socjalizm. Jak go szukać, jak odnaleźć... Jak dochodzić poznawczo do istoty tych nowych konfliktów, dynamicznych konfliktów epoki, które on przeżywa cięża. Już nie wystarcza, jak to



Wanda Gościńska

czynili niektórzy, decydowanie za klasę robotniczą. Było w tym decydowaniu, w tym opiniowaniu za nią najwięcej, jak to wnikiwie zauważył pewien krytyk, pogardy. Otóż dzisiaj sytuacja jest taka, iż to klasa robotnicza zaczyna patrzeć na palce piszącego drobniomieszczaństwa, z wyrozumiałością, ale nagle.

Ona w Warszawie wybudowała Trasę W — Z. Drobniomieszczaństwo szlifowało trasy ulic między dwiema znanymi kawiarniami, zbudowała, jak mawiają złośliwi, trasę K — M. Zza szyby wyglądały ku niemu tylko naturalistyczne zarzysy nowo-wznoszonych budowli. Stąd owa krótkowzroczność, stąd owe nieszcześliwe spojrzenia na klasę robotniczą jak na swoisty rodzaj „nad-ludzi”.

Chwytało się starych schematów, usiłując zapamiętać je jedynie nowymi nazwami, czy naturalistycznymi postaciami. Gdzie szukać źródła zła?

Moim zdaniem — w braku świadomości ideowej. Głębokie przekonanie ideowe, głębokie uświadomienie teoretyczne i praktyczne, wypływające z realnej codziennej pracy, z konsekwentnego codziennego związania się z ideą komunizmu, z budową socjalizmu narzuca nieuchronnie, nową, historycznie prawdziwą wizję świata. Zdemaskuje przed każdym jego własny wsteczny oportunizm.

Metoda pracy twórczej będzie nieuchronną konsekwencją tej świadomości, tego związania się i zespolenia z walcząca klasą. Bo z realizmu w spojrzeniu na świat, z idei socjalizmu klasa ta czerpie swoje siły. A klasa ta już dzisiaj mówi o swoim życiu i walce.

Mówi prosto, często nieporadnie, ale jakże dramatycznie, z jaką twórczą pasją, z jaką siłą owego zwycięskiego Nowego.

Mówi o tym i w broszurach dawnictwa „Biblioteki Przewodników Pracy”. Tutaj opowiada o swoich osiągnięciach awangarda klasy, do której równą masę ludową całego kraju. Mówi Aparys, mówi Zieliński, Łykowski, Michałek, Górniczy, spawacz, murarz, tokarz... Ale z tego szeregu nazwisk, szeregu sylwetek robotniczych wyłania się ku nam ich jeden zasadniczy profil, jest to profil nowego człowieka, jest to profil, jaki formował i formuje w nas epoka budowy socjalizmu. Za tym profilem, historycznie prawdziwym profilem naszego czasu, będziemy śledzić, ten obraz rozbudowywać i uzupełniać. Koniecznością wydaje się więc ten obraz usystematyzować, dotrzeć do cech zasadniczych, do jego rysów istotnych.

Wówczas dopiero zrozumimy, z jak wielką pomocą przychodzi i tutaj ludziom pióra klasa robotnicza.

III

Kim byli ci ludzie w ustroju kapitalistycznym... Ci wysoko kwalifikowani, najbardziej twórcy przedstawiciele swojej klasy?

Spawacz Czesław Michałek (769,8 proc. normy) pisze: „Przed wszystkim nigdzie, ale to nigdzie nie mogłem znaleźć pracy... Biegałem od fabryki do fabryki, od zakładu do zakładu, jak to robiły tysiące naszych wygłodzonych, wymęczonych, niedźwiedzi. Wszędzie witały nas obojętne, chłodne spojrzenia, wszędzie odprowadzono nas z kwitkiem”. Budowniczy Polski Ludowej, gór-

nik kopalni „Brzeszcze” Franciszek Aparys:

„Chciałem pracować na kopalni — ale dyrekcja odmówiła przyjęcia: — I tak — powiadają — mamy z tobą dużo kłopotu, robotników buntujesz, do tego sam jeszcze nie bardzo zdany jesteś do pracy. Idź sobie, dokąd chcesz...”

Cięższy był los tych, którzy aktywnie uczestniczyli w rewolucyjnym ruchu robotniczym. Postać murarza Piotra Trzeźnińskiego, to symbol dzieł wielu tysięcy robotników-komunistów: „Półtora roku przedsiadziałem w więzieniu w Przemyślu. Nie żałowałem mi razów. Męczyło mnie bezustannymi badaniami... Policja deptała mi stąle po piętach... Byłem często bezrobotny. Toteż głód i niedza zaglądały coraz częściej do naszego domu...”

Ta przeszłość — to zjawisko powszechne w życiu klasy robotniczej przed wojną. Wyzysk, bezrobocie, niedza, więzienie były i są niebędącymi i charakterystycznymi akcesoriami kapitalizmu. Jakże był więc stosunek jego robotników do wykonywanej pracy? Pisz o tym górnik Czesław Zieliński (721 proc. normy wydobycia węgla).

„Często zastanawiałem się, dlaczego ja i wszyscy moi towarzysze szliśmy do roboty niechętnie, dlaczego gołębka na dole musiał poganiać dożór. Mimo, że przywiązaliśmy się do naszej kopalni, wprost nienawidziłem miejsca naszej pracy...”

Ta nienawiść uczyła prawdy walki klasowej. Ta nienawiść była skierowana celnie. Godziła ona w społeczny system kapitalistycznej eksploatacji.

Czyż trudno zrozumieć teraz zmianę postawy robotniczej, gdy

Domagamy się bezwarunkowego zakazu broni atomowej, jako oręża agresji masowej zagłady, oraz ustanowienia ścisłej kontroli międzynarodowej nad wykonaniem tej uchwały. Będziemy uważali za zbrodniarza wojennego ten rząd, który pierwszy zastosuje broń atomową przeciw jakimkolwiek krajowi.

Z uchwały sztokholmskiej
Stałego Komitetu Obróńców Pokoju

PAUL ELUARD

XII Kongres KPF

Tu gdzie jesteście — a jest to Gennevilliers
Gdzie jest się między braćmi
Tu i w Vietnam przybył w dziesiątkę studentów
Smukłych i wiotkich pragnąc nas powitać
W ich powadze odzwierciedlała się wola
Która nam każe już na zawsze zmasać hańbę

Przemawia Thorez mówi jak nas kocha
Głos jego dźwięczy — jak odlew posągu — prawdą
Mocne słowa przemocą wydziera mu z ust dobroć
Jak zrozumiał obraz stawia nam przed oczy możliwość
Całkowitą możliwość szczęścia
Pokój to prosta sprawa byleby nastąpiła jedność

Mówi nam Thorez również i o sprawiedliwości
Mówi że Francja to ojczyzna sprawiedliwych
Mówi do nas w imieniu tych co pracują
W imieniu tych co budują życie
I tych co dzierżą w rękach
Siłę zdolną zapewnić bezpieczne jutro

Siłę której na imię braterstwo

2 kwietnia 1950.

Przełożył ROMAN KOŁONIECKI.



Wiktor Markiewka

nie tylko pracować — musi myśleć...”

Ta robotnicza twórcza myśl — oto sens socjalistycznej współzawodnictwa, oto tajemnica sukcesów naszych przewodników pracy.

Gdy słuchałem pięknych i wzruszających słów tow. Żywioł o jej pracy przypomniałem sobie o pewnym wierszu robotniczego samouka, jaki kiedyś z racji moich prac redakcyjnych wpadł mi w ręce. Ów robotnik kończył swój wiersz następująco:

— Gdzie indziej praca kończy się na trudzie,

A u nas zmienia ludzi los.”

Podobnie jak robotnik z Pa-Fa-Wagu o swoich powrotnych narodzinach, pisał w swoim pamiętniku wielki robotnik, sława naszej epoki: Włodzimierz Majakowski stwierdzając:

— „Ja urodziłem się w październiku po raz drugi...”

Lenin pisał o tym: „Komunizm zaczyna się tam, gdzie ujawnia się ofiarna, przewyżniająca ciężki trud troska szeregowych robotników o zwiększenie wydajności pracy, o ochronę każdego puda zboża i innych produktów, które otrzymują nie pracujący osobiście i nie ich „bliscy”, ale „dalsi”, całe społeczeństwo, dziesiątki i setki ludzi zjednoczonych najpierw w jednym państwie socjalistycznym, a następnie w Związku Republik Radzieckich”. Ta, jak ją Lenin scharakteryzował, „ofiarna troska o zwiększenie wydajności, o ochronę każdego puda produkcji” — oto zasadnicza cecha nowego człowieka także w Polsce.

O tej to ofiarnej trosce pisze Kaniowski:

„Znacie chyba to uczucie; napotoczy się jakieś zagrożenie i ani rusz nie można się od niego odczepić. Położysz się do łóżka — zasnąć nie sposób... uparcie niepokoi cię myśl — 10 proc. produkcji idzie na marnie. Tyle pieniędzy wyrzucono za okno. Ładni gospodarze. Fabrykę wzięli w ręce i co?”

W ten sam sposób reaguje na swoją pracę człowiek radziecki budujący komunizm.

Jeden z wybitnych stachanowców Urалу — Ponomarew pisze w analogicznym wydawnictwie radzieckim: „Myśli te (o pracy) nie dawały mi spokoju... Bywało przebudzę się w nocy i przed oczami stoi mi moja obrabiarka... Wyskakiwałem z pościeli, zapalałem światło i siadałem za stołem z „podręcznikiem do kół zębacych”.

Tokarz Moskiewskiej Fabryki Szlifirek, Bykow, który w roku 1949 otrzymał tytuł laureata Premii Stalinowskiej pisze: „Patrzę na swoją obrabiarkę, jak na broń żołnierza, którą mi powierzył mój kraj. Czy dobrze wystudowałem swoją obrabiarkę? Czy wykorzystuję wszystkie jej mechanizmy?”

Nie inaczej opowiada o swojej pracy Piotr Trzeźniński. „Różne są karabiny. Istnieją przecież karabiny nowego i starego typu. Będziemy tymkwalifciami karabinem nowego typu: fanfana” konkluduje Trzeźniński i przenosi doświadczenie racjonalizatorskie radzieckie na nasz grunt.

Widzimy więc jak formuje się wspólna więź, wspólny stosunek do pracy, jak krystalizuje się w awangardzie polskiej klasy robotniczej świadomość, od której według Lenina „zaczyna się komunizm”, świadomość i więź — wspólna polskim i radzieckim ludziom pracy.

Aparys pisze: „Praca... stała się czynnością, bez której nie mogę wyobrazić sobie życia; dla którego wysiłkiem twórczym warto oddać wszystkie swoje siły, wiedzę i nagromadzone przez tyle lat doświadczenia”. I oto te wspaniałe, socjalistyczne karabiny poczęły działać. I gdy słuszerz wrocławskiego, Kaniowskiego, jego koledy nazwali żartobliwie ojcem nowej produkcji, to był to w tym „pożornie żartobliwym” powiedzeniu oddany trafnie historyczny sens nowej roli klasy robotniczej w Polsce.

(Dokończenie na str. 7)

WŁADYSŁAW MACHEJEK

TEMATY REPORTAŻU WIEJSKIEGO

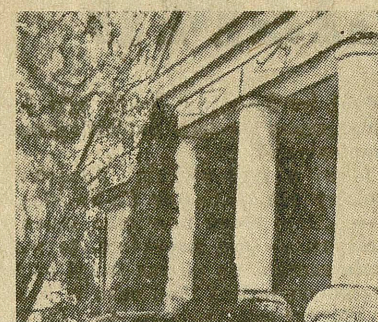
Czytając przed wojną reportaże Wandy Wasilewskiej, marzyłem, by pisać podobne, choć nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że wartość reportażu polega na jego funkcji społecznej, słowem, że musi być on uspołeczniony i upolityczniony. Dziś reportaż uspołeczniony i upolityczniony — spełniając te warunki — może być współtwórcą socjalizmu. Wac-tości mobilizujące wytworzą sam temat, aktualny dziś, jutro zastąpiony przez inny, jak i atmosfera języka, który najczulszemu przemawia o teraźniejszości, jako pomoście do przyszłości. I dlatego dzieło pisane tym językiem jest chwytliwe.

Język teraźniejszości, język ówczesnego etapu walki w reportażach Wasilewskiej mobilizował moją młodzieńczą wyobraźnię. Jako syn chłopski, przeżywający tragizm młodego pokolenia wiejskiego i niedzy wiejskiej w ogóle, powoli uczyłem się patrzeć na każde słowo, jak na dynamit zakładany pod wieżenie obywatela — faszyzmu i nacjonalizmu. Główną rolę w nawstawianiu się pojęć niewątpliwie odegrała przynależność do KZMP, dyskusje w zakamarkach leśnych nad formami i taktyką budzenia mas — stał plynący potrzebą szukania masowego propagandyzmu. Do walki stawał reportaż, przemawiał językiem zwycięskiego strajku, krwi na polach Racławic, potu przetapianego w kapitalistycznym tygu na złoto, językiem zawijającej się sily sojuszu robotniczo-chłopskiego. Reportaż mobilizował, przez swoją typowość wskazywał drogę milionom.

Przyszła okupacja. Do lasu zaganała mnie wprawdzie inna potrzeba niż szukanie materiału literackiego do dzieła przyszłości, ale w wolnych chwilach, gdzieś na postoju w ciśnień chacie wygniatemu na kolanie litery pamiętnika, z którego mógł powstać żywy reportaż o najlepszych synach ojczyzny z PPR i AL, o oficerach Rewolucji ze stażem KPP-owskim, uczących młodzież biedniacką, chociaż Polskę przez służbę dla Partii i jednemu działaniu z czołową siłą wyzwolenia świata — Armią Czerwoną. W czasie mojej niewoli u bohunowsko-NSZ-owskich nasiadów Gestapo część pamiętników potargale, resztę zjadłem, kawałek po kawaleczku. Zagnął wraz z tym taki choćby „Dziadek”, który rósł od świniopasa, który w pierwszej fazie uświadomienia mówi w obliczu kontyngentów, że „faszyzm niszczy wszystko co drogie sercu”, aż do oficerów określającego swoje zwycięstwo wewnętrzne wobec niewytrzymalych historyków słowami: „I tak się nie spłaci dług Partii, co się jej będzie winno... Zginąć”. Tym bardziej nie można było napisać powieści „Chłopek z lasu” (którą drukuje „Książka — Wiedza”), ale to już będzie tylko stwierdzenie i historia przeszłych wydarzeń. Natomiast gdyby został zachowany notatnik zastępowy mi wtedy reportaż. Światło radzieckie powieści o okresie wojny domowej i budowy socjalizmu („Chleb”, A. Tolstoj, „Sława” W. Gursiewa, „Na Wschodzie” F. Pawlenki, „Gorący czech” E. Polewaja itd.) wiele zaczerpnęły z radzieckiego reportażu opisywanych lat i dlatego tętnią krwią obiegową okresu bohaterstwa.

Przyszło wyzwolenie, okres jeszcze wspaniały dla pisarza. Buduje się władzę ludową, sojusz robotniczo-chłopski najrealniej rodził się podczas przeprowadzania reformy rolnej. Parcelowałem dwory miechowskie i nowotaraskie; literatura wtedy nie poszła na wieś po temat, nie poszła także energicznie prasa. W czym się wyrażała rewolucyjność owych dni? W tym, że przyjeżdżał do jednego i drugiego dworu pełnomocnik reformy rolnej i ogłaszał *zmianę czasu* na lepszy, sprawiedliwszy. Niektórzy formale mówili: „utrza się to, utrza...”. Ustoj się, jak woda stawu. Rosja? Tam była krew, to i wszystkim zle wypłynęło z krwi. A tu? Dziedzić się już ucy po rosyjsku. A mierników nie ma. Robotnik z brygady robotniczej wpadał w te słowa z kategorycznym protestem: „Nie, my kijami wynierzymy wasze działy na tej ziemi. Dziś...”. Kumoterska, powiedziała mi kułacka komisja nadziadowa w Marchociach (miechowskie) rozdzieliła inwentarz żywy i martwy pomiędzy żarzących, biedota otrzymała gołe pole z perspektywą pójścia w niewolę do kułaka. Przypominam sobie kłęczącą postać wyrobnicy, esierocina ostatecznie przez syna partyzanta BCh zabitego na progu właśnie parcelowanego dworu bratobójczą kulą — i myślę dotąd nad jej rękami wzniesionymi do góry, jak nad trwałymi śladami krzywdy. „Boże, uczyni cud, bo niewiadomo, co z nami będzie. Dziedzica wygnali, co z nami będzie, na robita?”. Tak, biedna, zagubiona owca wśród wilków. Cóż za temat! W Szafarach trzech górali nie przyjęło aktów nadania. Czemu? Nie łaknęli może pańskiej ziemi? Młody góral bez reki, którą utracił w boju z Niemcami we wrześniu 39 roku, zbliżył się do mnie i powiedział: „Eh, panie, pan zabierze w garść żyć i oddzieli, a my co? Karabinów nie wolno mieć...”. Początkowo nie rozumiałem tych słów. A przecież ten góral już widocznie przez skórę czuł, że zaczyna się krwawa dywersja, bandziorka „Ognia”. Później podczas sekretarzowania w nowotaraskiej PPR stwierdziłem, że od wielu nadzielonych NSZ-owskie służby parcelowanych dziedziców ściągali

haracz w wysokości przyjętego w tych stronach czynszu dzierżawnego. Nastaje terror „Ognia”. Miałem możliwość przejrzenia lakonicznego, ale tym bardziej makabrycznego pamiętnika tego „majora” — koniokrada z Waksmundu. To był pamiętnik emigrantar. Na każdej stronicie obok nazwisk stały krzyżyki, oznaczające śmierć i obok wyjaśnienia „powodu” likwidacji — co za cynizem w tej prostactości formułowań: „Żyd”, „PPR”, „żona oficera KBW”, „Odszukałmy ciało żony kapitana KBW; ręce w przegubach urabane siekiera, pierś posiekane brzytwą...”. W tym czasie PSL-owsko-mikolajczykowski starosta Skibiński tłumaczył oburzonym terroryzowanym członkom Powiatowej Rady Narodowej na po-



siedzeniu Rady; „ja gwarantuję za porządek”. Cóż za wulgaryzacja, coż za ośnienie dolarami plynącymi przez góry. A w konsekwencji? Pełne likwidacji poronionemu, reakcyjnemu Janosiłkowi zakładają sami górale. Ci właśnie, którzy palili przez jego ręce czystsze dzierżawne dziedzicom, ci, u których przeszli się strach i przesiadli w samoobronę. Całość — temat!

Następnie — samo montowanie władzy... Znajomość kierowania państwem, powiatem, gminą była dotąd umiejętnością reakcji, wynikającą z monopolu klasowego. Proponowałem urząd starościński w N. Targu pewnemu uczniemu, wyrobnemu politycznie robotnikowi. Kategoryczny odmówił. Propozycję przeniesienia na młodego studenta, nawróconego partyzanta AK. Czapa mu spadała z głowy. Ucieki bez poźegnania. Odszukałem go po kilku dniach. — „No cóż, wezmę ten krzyż na siebie, jeśli Partia tego żąda, ale czuję, że nie ci fachowcy zjedzą”. Dziś walczymy z sabotażem, powstają opowiadania, sztuki na ten temat, ale o ileż więcej tych min dywersji klasowej trzeba było wyszukać i unieśkondylować w pierwszym roku, w pierwszych latach po wojnie! Dodajmy do tego fakt oderwania terenu od centrów wojewódzkich, konieczność decydowania na własny rachunek, a mielibyśmy ramy obrazu pierwszych, niezapomnianych budowniczych państwowości ludowej. Zwyciężyli! Mój student, aby nie był pogryziony przez reakcyjne szczurów, sam się nauczył gryźć, znalazł oparcie w Komitecie Powiatowym, w kolektywnej radzie.

Po co rzucać te wspomnienia na papier? Wyjeżdżamy w teren dla szukania tematów. Rol się od nich, młot robotniczy wykrzesuje je jak iskry, plug traktorowy wyoruje z glebokiego podglebia, ale wskazać trzeba, że forma zmian, które chcemy oddać w powieści, wierszu, sztuce będzie niepełna, będzie niewytłumaczalna, jeśli u ich dna nie znajdziemy heroizmu pierwszego okresu. Człowiek nie rodzi się gotowy z zębami i wąsami, stworzyła go w warunkach walki takim, z jakim dziś rozmawiamy. Najwyższy czas podjąć i te tematy. Temat bieżący nie na tym nie straci, a zyska natomiast trwalsze ideologiczne oparcie i poparcie.

Czy reportaż oddala pisarza od powieści współczesnej, czy przypadkowo nie zamienia jej w prosek problematyki, czy też przybliża? Jako dziennikarz — wiadomo — nie mam na tej chwili czasu i nie będę go miał w potrzebnej ilości, dopóki dziennikarstwo będzie moim zlecenym posterunkiem — ale czy tylko dlatego napisałem kilka reportaży i kilka opowiadań reportażyowych, że istnieje taka konkretna sytuacja? Nie. Przyszła powieść uzupełni reportaż, ale źródłem jej powstania będą reportaż i przeżyta reportażysty. O tym trzeba pamiętać. Wtedy to będzie powieść nie tylko dobra w znaczeniu literackim i politycznym, ale także poczytna. Czemu ludzie nawet o kompleksie antyradzieckim zapytani o „Szośe wołokółomską” Beka, powiedzą, że czytali ją jednym tchem przez całą noc. Bo jest w niej prawda życia, reportażowa prawda życia bez ornamentów fikcji.

Reportaż literacki nie powstaje po jedno, dwu czy trzydniowym pobycie w danej miejscowości. Musimy znać całą skalę porównań, te same skale sobie wypracowaliśmy, ale na podstawie dłuższych obserwacji, w różnym czasie. Nagrodzony przez „Więś” mój reportaż o socjalistycznej założce PGR w Chyszowie bynajmniej nie powstał u mnie, t. zn. w moim umyśle po ogłoszeniu konkursu. Ba, przed napisaniem jego byłem w Chyszowie dwa miesiące. Przejedżdżając tamtą trasę w ciągu roku kilkakrotnie wstępowałem do tego Gospodarstwa, byłem na zebraniu produkcyjnym, byłem ich atmosferą. (Nie przy piwie prowadziłem i nie wywady z Sosnowskim, czy z kierownikiem Zarowem). Dlatego temat objął nawiązanie się socjalistycznej świadomości co wyjaśnia rozwój

produkcji. Ktoś powie — no cóż, przez rok pisać jeden reportaż...? Nie, w jednym czasie prowadzimy dziesięć różnych obserwacji, bardzo często jedna pomaga do skrytowania się drugiej, jedna dojrzej wcześniej do literackiego opracowania, druga później, ale to jest tak jak z owocami, którym się nie pisze dnia zrywania.

Zbliża się święto 1 Maja. Jakież może być zobowiązanie pisarzy? A zobowiązania takie są potrzebne (myślę o wewnętrznym przeżyciu). Czytamy w prasie codziennej o tyśiach ton cementu, żelaza, którymi robotnik odpowiada anglo-amerykańskim podżegaczom wojennym — w obronie i walce o pokój. Rusza się także wieś na 1 Maja, aktywizuje się przed tym świętem, by w jednym szeregu z proletariatem manifestować wolę utrwalania pokoju przez pracę. Znowu jakiś pesymista powie: zobowiązania na wsi, zobowiązownictwo? U Markiewki, u robotników cementowni „Grodziec” wszystko zależy od napięcia woli i myśli. Na wyniki nie ma tu wpływu ani klimat ani gleba w odróżnieniu od rolnictwa, gdzie plon jest ostatnią niewiadomą produkcji. Plon w rolnictwie indywidualnym nie jest jeszcze wierny, to znaczy ulega dość dużym odchyleniom. Ale życie zadaje i zadaje kłam pesymizmowi. Doświadczenia ubiegłego roku świadczą o wielkiej sile napędowej 1 Maja, rozpoczęte zobowiązownictwo brzożowe (jako forma zobowiązania) podniosło w dziesiątkach wsi (np. w krakowskich) dostawy mleka do

spółdzielni, wydajność z ha buraka cukrowego itp. W tym roku, kiedy współzawodnictwo branżowe przyjęło się w gromadach jako system stały, ZSCh naprowadza myśl chłopską na współzawodnictwo zespołowe, którego celem jest nie tylko dobro danych gospodarzy i danych gromad, wybiega on troską naprzód o dobro ogólne socjalistyczne.

O czym myśleć pisać w najbliższym czasie? Czy tylko o spółdzielczości produkcyjnej? Zasadniczo tak. Ale obok przebiega masa transmisji prowadzących do socjalizmu, muszę lepiej poznać ich bieg. Celowość polityczna tego biegu, to walka klasowa. Oto kułak w Ziociemce wybił zęby parobkowi, drugi zaś parobek ujął się za pokrzywdzonym. Obaj sprawili lanie wyzyskiwaczowi, uprowadzili krowy i konie z kułackiego wielohektarowego gospodarstwa po kumotersku zdobytego przy nadziale (i obrabianego siłą najemną) i wprowadzają je do obory spółdzielczej. Co z tym fantem zrobić? Oto w nowosadeckim stworzono w niektórych wsiach „kombiody”, które oczekują od posiadaczy inwentarza pomoc sąsiedzką i same się rozliczają z nimi za usługi. Kopaliną zagadnień. Czasem się żaluje, że pióro to nie łopata, że nie można nim wydobyc naraz wszystkich. Bogate życie! I dlatego, by nie skomplikować samego pisania, niech reportaż posłuży do zapamiętania wielkiego przełomu gospodarczo - społecznego dla przełomu w literaturze.

Władysław Machek.

KAZIMIERZ DĘBNICKI

DLACZEGO PISAŁEM

O sprawach związanych z konkursem „Wsi” miałem zamiar napisać, jeszcze przed poznaniem treści apelu, wystosowanego przez redakcję tygodnika — do „laureatów”. Miałem i mam poważne zastrzeżenia wobec mego reportażu, zastrzeżenia mogące w skrócie sprowadzić się do generalnego zarzutu zbytniego, przesadnego pobrzedowania ludzi, a traktowania tematu zasadniczego, ośrodku zdrowia, jako tła. Stąd, moim zdaniem, Biesko przytoczył problem ośrodku. Myślę też, że winniemy przynajmniej się do grzechu naciągania tematu. Pisząc reportaż zapomniałem, że chodzi o ośrodek zdrowia, porwał mnie problem ogólniejszy, problem z którym stykałem się na wsi w czasie okupacji i po wojnie — problem służby zdrowia w terenie wiejskim w ogóle. Stąd patrzę z szerokością perspektywę ogólnego zagadnienia, trochę po maceszemu potraktowałem konkrety, żywy, działający, walczący z trudnościami — ośrodek zdrowia. Pokazywałem jego nastrój, ludzkie postaci — ale jego pracy właściwie nie pokazywałem. I to jest źle, bo przecież z tych konkretnych, istniejących, źle lub dobrze funkcjonujących ośrodków składa się problem ogólny, szeroki, generalny.

I to jest źle, bo ośrodek pracuje dla ludzi, jest przez ludzi tworzony, prowadzony. Ja pokazałem ludzi na tle ośrodku, nie pokazałem ich dynamicznie jak twórcy, jak pokonywali opory, (a opory były), jak ośrodek powstawał, wznoszony przez ludzi.

TEREN I TEMAT

Cały szereg przyczyn złożył się na wybór zarówno tego terenu jak i tego tematu. Najważniejszą była dla mnie ta okoliczność, że Suchedniów, jak zresztą i wiele osad, miejscowości na tym obszarze woj. kieleckiego, ukazują ciekawe zjawisko społeczne — przetrwanie proletariatu wiejskiego w miejskiej, fabrycznej, bez zmiany miejsca zamieszkania. Bliskość dużych ośrodków przemysłowych (Skarżysko, Starachowice, Kielce), uprzemysłowienie samego Suchedniowa i przemysłowo-górnictwa (kopalinę rudy z okresu rozbiorowego) tradycje — stworzyły typ ludzki dość swoisty. Z jednej strony niezerwana więź z gospodarką rolną, z drugiej nowoczesna, wieloletnia, często już 3 pokolenia trwająca, praca w fabryce, ukształtowała typ chłopca o silnie wyrobnym, klasowym instynkcie proletariatu przemysłowego. Stąd typowa dla ludzi wsi ciekawość wszelkich przejawów przyrody, czy robotnicza skłonność do naukowego rozpatrywania zjawisk przyrody, bez jakichś mistycyzmu-religianekich, kułackich „filozofii”.

Stąd robotniczy, klasowo-proletariacki ped do organizacji, do Partii, umiejętności organizowania pracy zespołowej, przy jednoczesnym gospodarskim poczuciu dużej niezależności osobistej, co u klasie robotniczej tak ustnie chciało dawać kapitalizm, mający do ujarznienia proletariatu miejskiego łatwy dostęp wszelkimi kanałami.

Nie wiem, może to być jedynie przypuszczenie, ale wydawało mi się

zawsze, że radziecy kolchoźnicy mają podobne cechy charakteru, co ludzie, o których pisałem, których znam, z którymi żyłem.

Z tą, rzecz jasna, różnicą, że kolektywna gospodarka musiała dać o wiele bardziej głębokie przeobrażenia ludzkiej umysłowości. Tym niemniej to połączenie życia na wsi, wśród pięknych, bogatych lasów, z pracą robotnika fabrycznego, może dawać podobne efekty w psychice ludzkiej. Myślę, że kiedy w Suchedniowie powstanie spółdzielnia produkcyjna to jej członkowie nie będą musieli przełamywać tych oporów, jakie przełamują ludzie na innych, typowo wiejskich terenach. Że bardziej przedziwnie przypominają będą kolchoźników ZSRR.

Napisałem: kiedy powstanie spółdzielnia produkcyjna w Suchedniowie. I tu kryje się kwestia wyboru tematu do reportażu. W Suchedniowie, na wsi Kruk, o której pisałem, nie ma spółdzielni, choć nie ma oporów jeśli chodzi o jej założenie. Sprawa polega na tym, że drobne i ubogie działki ziemi, posiadane przez tamtejszych ludzi, nawet scalone, nie pozwolą na stworzenie rentownego terenu spółdzielczej eksploatacji rolnej. Istnieje inny powód, gorąco dyskutowany — spółdzielnia hodowlana, specjalizująca się w chowie świniotrzaskiej, odpornej a mlecznej rasy krów. O tym jednak kiedyś.

Wybrałem więc ośrodek zdrowia, bo wiązał się on z bardzo do tego terenu (sądzę zresztą, że nie tylko dla tego) aktualną problematyką a utrudnioną i komplikowaną przez biurokratyczne jej traktowanie na poszczególnych szczeblach hierarchii służby zdrowia.

Mógłbym może napisać 5 innych reportaży, lepiej obrazujących postawę, *bojowość, partyjność* tamtejszych ludzi. Mógłbym pokazać np. ich wielkie (wielkie nawet nie w suchedniowskiej skali) plany urbanistyczne, plany przebudowy osady, plany, które w pierwszej fazie rozbijają się o... krowy nadleśnictwa. Ale tematów tych nie było na konkursowej liście. Wybrałem więc Ośrodek Zdrowia, bo ma on już pewną historię zorganizowanej walki i pracy tamtejszej ludności, na czele z organizacją partyjną, o polepszenie stanu zdrowotnego gminy. Historię, jeszcze okupacyjną.

Wybrałem ten temat, bo pozwalał on pokazać i trudność sprawy i nieustępliwa wolę chłopów z Kruka i innych gromad rozwagania trudności, wole partyjną, zorganizowaną, wolę ludzi XX wieku, którzy nie zadawają się osłonięciem, ale patrzą i idą

TADEUSZ SZEWEBA

PIERWSZA

Należę do tych młodych, dla których konkurs zorganizowany przez tygodnik społeczno - literacki „Więś” konkurs na „reportaż o wsi” stał się pierwszą próbą sił pisarskich, pierwszym krokiem w twórczości literackiej.

Dla zdobycia wiedzy rolniczej na wyższej uczelni, w pierwszych latach istnienia Polskiej Ludowej, mając 21 lat, znalazłem się w nowym do pewnego stopnia dla mnie obcym środowisku robotniczego miasta jakim jest Łódź.

Rozmaita młodzież znalazła się wówczas na uczelni łódzkiej. Różne były jej młodzieńcze poglądy, różny sposób patrzenia na wieś, jak różne były środowiska z którego pochodziła. Znalazłem się w tym środowisku wychowany na tradycjach hetmańskich, tradycjach tkwiciach w szkole powszechnej a po tym w gimnazjum i liceum im. hetmana Jana Tarnowskiego, wynikających choćby z faktu, iż Dziaków był siedzibą hrabstwa Tarnowskich a ja dżikowianinem. Na wieś patrzyłem oczyma tradycyjnych pisarzy „chłopskich”, że widziałem jej piękno nawet w obdartym kilkunastoletnim pastuszką, pasącym bydło u chłopca bogatego za barłóg pod żłobem w stajni.

Na uczelni znalazła się różna młodzież, zetknęło się miasto ze wsią. Już obserwacje pobieżne wskazywały na to, iż młodzież mieszczańska jest po to na uczelni rolniczej, by zdobyć pewien zasób wiedzy a specjalnie, by zdobyć papier, który otwiera szerokie perspektywy uzyskania popłatnie i korzystnego stanowiska. Bardzo mały procent tej młodzieży interesował się rzeczywistą problematyką wiejską. (Dziś sprawy te przedstawiają się na łódzkiej WSGW zupełnie inaczej). Inną grupę stanowiła

biedna młodzież chłopska. Zetknawszy się z nią na platformie Koła Naukowego Rolników rychło przekonałem się, iż ma ona już mocny kregosłup polityczny.

Z inicjatywy tej młodzieży, w łonie Koła powstała sekcja współpracy ze wsią. Nie należałem do tej sekcji, a jednak wciągnąłem się do roboty i wyjeżdżałem z kolegami na wieś, by prowadzić prelekcje, by zdobyć na uczelni wiedzę oddawać chłopu dla jego potrzeb gospodarczych.

Po jednym z wyjazdów na wieś postanowiłem napisać coś do prasy codziennej. Nie silłem się na opis piękna wsi, napisałem o tym, jak to młodzież wiejska, ucząca się na uczelni w mieście wraca na wieś, by zmienić jej strukturę społeczną, polityczną i gospodarczą. Reportaż został wydrukowany, ale koledzy na uczelni wysmiali mnie. Nie ci, którzy umieli patrzeć na wieś i widzieli na wsi walkę klasową. Wysmiali mnie ci, dla których wieś zawsze była „spokojna i wesola”. Wysmiali mnie jeszcze dlatego, że uważali, iż wystarczy być społecznikiem. Po co jeszcze pisać o tym co jest drażliwe, pisać o bogatym jak wyzyskuje.

Mimo półśmieszków kolegów, a nawet cierpkich uwag na temat mojej działalności dziennikarskiej, nawiązałem kontakt z redakcją, która mój pierwszy reportaż wydrukowała. Chciałem za wszelką cenę pisać, pokazać czytelnikowi właściwą wieś z jej klasowymi zróżnicowaniami z jej walką klasową. Chciałem pokazać przemiany zachodzące wewnątrz wsi, wzrastającą świadomość chłopstwa pracującego, ich stanowisko wobec wyzyskiwaczy i bogatego chłopstwa. Chciałem pokazywać to czego tak wielu pisarzy unikało skwapliwie — walkę klas.

Na początku 1948 roku zetknąłem

ciągnięcia, pozwalają skorygować

biedę, popełniane odgórnie w stosunku do wiejskich terenów przez niektóre biurokratyczne hamulce naszego aparatu administracyjnego, pokazują wreszcie człowiekowi miasta, bliskiego mu sojusznika, towarzysza, podnoszącego na skrają dółowej puszczy — Sztandar Socjalizmu!

DLACZEGO REPORTAŻ!

W tym sensie reportaż, jaki pisałem — miał spełniać rolę publicystyczną. Sądzę, że takie zadanie stawiał sobie każdy biorący udział w konkursie, kto wie nawet, czy nie które „prace” nie stały się zbyt już publicystycznym wypowiedziami, że szkoda dla literackiej strony reportażu.

Z drugiej bowiem strony traktowałem konkurs, jako swą próbę znalezienia literackiego, realistycznego wyrazu dla bogatej, a nieznanej w latach kapitalizmu, sponiewieranej, zafaszerowanej przez burżuazijną literaturę, zepchniętej na krańce zainteresowań czytelników, problematyki wiejskiej.

Wiedziałem z własnych, ubogich zresztą doświadczeń, że nowela i powieść nie spełniają dziś jeszcze tej roli. Żyjemy szybko. Za szybko często dla powieściopisarza, nowelisty, żyjemy tempem redakcyjnym, gorączkowym, reportażyowym. Tym tempem zaczyna żyć wieś polska. Można i trzeba pisać nowelę i powieści o reformie rolnej, o jej realizacji w ostrej walce z podziemiem nielegalnym i legalnym, mikolajczykowski-P.S.L-owskim, trzeba pisać utwory literackie o zagospodarowaniu Ziemi Odzyskanych, ale to są już sprawy historii, przeszłości. Życie gna tak szybko, że dzieje pięćdziesiątka mogą już wejść do podręczników. Proces budowy socjalizmu przekania często nas samych, mimo naszej aktywności w jego tworzeniu. A przecież proces ten musi mieć swój wyraz literacki, artystyczny. I im bardziej trudna, odległa, zaniedbana jest wieś, chłopska strona tego procesu, tym bardziej trzeba ją rozgrzeć, opłamać, przetworzyć w aktualny obraz literacki. Aktualny — a więc nie powieściowy, nie nowelistyczny. Stąd reportaż, stąd udział w konkursie.

Myślę przytem, że w okresie walki o realistyczne oblicze powieści i noweli — nie łatwo byłoby (nieależnie od powodności tworzenia powieści, jej ogarniania rzeczy już byłych, choć dopiero wczorajszych) napisać dzisiaj aktualną powieść chłopską. Powieść o dużych walorach artystycznych, powieść o wielkim ładunku ideologicznym. My dopiero uczymy się A.B.C. — realizmu socjalistycznego w literaturze.



PRÓBA

(Dokończenie ze str. 5-ej)
 się z łódzkimi dziennikarzami i zacząłem coraz więcej pisać o wsi. Ale były to krótkie artykułki, małe reportaże, które w żadnym wypadku nie zaspokajały potrzeb czytelnika i moich.

W czasie pracy dziennikarskiej zetknąłem się z dwiema grupami dziennikarzy. Ze starymi tkwiącymi jeszcze w tradycjach międzywojennych dziennikarzami i młodymi, pełniymi dynamizmu ludźmi, których sposób pisania i pokazywania środowisk, czy to miejskiego, czy to wiejskiego nie odpowiadał starym. Dla nich młody człowiek pragnął pisać, był jeszcze młodością literacką, był zły dziennikarzem. Wyrabiał się więc w młodych przekonanie, iż nigdy nie wartościowszego nie napiszemy, że należy ograniczać się do krótkich notatek czy wzmianek, względnie niewielkich opisowych i bezproblemowych reportaży.

Pod wpływem takiego stanowiska rosła też niechęć do twórczości literackiej, do pism literackich i literatów. Pocóż pisać, skoro nie wydrukują, nikt tego nie przeczyta, nikt nie zapozna się z zagadnieniem, nie porówna go z wydarzeniami zachodzącymi w innym środowisku i nie będzie mógł z postawionych projektów rozwiązania zagadnienia skorzystać. Zbierane w czasie wyjazdów przeze mnie notatki i materiały gromadziłem w teczkach, nie wykorzystując ich, a jeżeli tak, to tylko po niebieżnie. Wydawało mi się, chociaż niejednokrotnie czytałem o wychowywaniu nowych kadr pisarskich przez tygodnik „Wies”, że literatura jest tylko dostępna dla z góry predystynowanych.

Bo powiedziałem sobie szczerze, czy reportaż o Łąkińsku, wyróżniony na konkursie nie mógł powstać o rok

wcześniej? Mógł powstać i to zupełnie dobrze. W Łąkińsku byłem nie po raz pierwszy, jeździłem tam od 46 roku, miałem moc materiału, który zbierałem razem z tamtymi ludźmi. A przecież ten kompleks niższości, wyrobiony na podstawie stanowiska niektórych dziennikarzy i literatów, był przyczyną, że nie tylko mój reportaż ale i inne reportaże powstały właśnie dzięki konkursowi i dopiero w roku 1950. Dlaczego tak późno?

Podczas jednego z moich wyjazdów na wieś produkcyjną, spotkałem się z W. Jazdzynskim. Obydwaj byliśmy zajęci tym samym zagadnieniem — spółdzielnią produkcyjną w Srebrnej pod Łodzią i jej rozwojem. Razem zbieraliśmy materiał. W powrotną drogę Jazdzynski zadał mi kilka pytań, z których jedno miało dla mnie znaczenie — dlaczego tak powierzchownie zabieram się do zagadnienia. Odpowiedź moja brzmiała — piszę dla gazet codziennych. U nas nie pójdziesz materiału duży. Rozwiązanie problemu postawiłem chyba w komitecie. Tak jak się to robi zazwyczaj, względnie przed działaczami społecznymi. A przecież pisarz to też działacz społeczny, sam więc powinien pisać ukazać rozwiązanie problemu.

W rozmowie ze współpracownikiem „Wsi”, który rozwił mi młot o klanie, który tworzą literaci, doszedłem do przekonania, że nowa powojenna literatura to pisarz robotnik, to pisarz chłop obok profesora, naukowca i literata z zawodu. To przecież literatura wszystkich.

Było to w czasie, gdy tygodnik „Wies” ogłosił konkurs na reportaż. Postanowiłem poprobać. Postanowiłem napisać o Łąkińsku. O tym o czym można było napisać rok temu.

Tadeusz Szewera

LESZEK GOLIŃSKI

POKAZ SOJUSZ!

Jestem dziennikarzem. Przez długi czas w dziennikarstwie polskim obowiązywała metoda t.z.w. omnibusów: byli to ludzie „do wszystkiego”, a więc zmuszeni koniecznością do zabierania głosu we wszystkich sprawach, od gospodarczych począwszy na kulturalnych skończywszy.

Z czasem, w miarę bogactwa wszelkich form życia, zaszła słuszną konieczność specjalizacji. Poza stał jednak ślad tamtych „pionierskich” czasów: żywe zainteresowanie się zarówno zagadnieniami wsi, jak i miasta, planów przemysłowych, jak i recenzji teatralnych. Te właśnie dziennikarskie doświadczenia są mi dzisiaj pomocne przy rozwijaniu wielu zagadnień literackich, nad którymi biega się ludzie, holdujący do niedawna przesadom kawiarnianym, a dziś nagle, wprost z „Kopciuszka” wysłani do obór spółdzielni produkcyjnych.

Prawdą jest, że to masa młodych dziennikarzy Polski Ludowej, podróżując codziennie na wozie i pod wozem, tłukąc się po najbardziej zapadłych (co na szczęście należy już do rzadkości) wsiach, cierpiąc trudne do opisu niewygody, bnie za traktorami, śpi na wyrku, rozmawia, obserwuje, współdziała. Z takich dni, pełnych trudu i nocy, pełnych niewygód rodzi się nowy reportaż.

Na pytanie Redakcji „Wsi” dlaczego wziąłem udział w konkursie na reportaż wiejski, odpowiadam:

Stać się to po prostu przypadkowo. Pewnej soboty otrzymałem polecenie udania się wraz z robotniczą ekipą łączności na wieś. Było to w grudniu.

Ale materiał, który przywiozłem do miasta, na luźnych notatkach, był bardzo skromny. Powstał z niego zwyczajny, stereotypowy reportaż dziennikarski, poparty kilkunastu nazwiskami i faktami.

Czytając go w parę dni później w druku, uczułem, że tym ludziom z ekipy stała się wyraźna krzywda.



Spółdzielnia produkcyjna w Wojnowie, pow. Oborniki koło Poznania

Cóż jednak było robić? Rozmiar reportażu w prasie codziennej nie śmie przekraczać iluś tam wierszy, przy tym wymagane są ściśle fakty, cy-

fry, a wszelka t. zw. „poezja” wykreślana jest skwapliwie przez sekretarza redakcji. Reportaż w prasie codziennej rejestruje fakt. A ja czułem, że praca tej ekipy, jak i każdej innej, to nie tylko fakt. To coś więcej.

Miałem się zresztą przekonać o tym w kilka dni później.

Było to gdzieś koło świąt Bożego Narodzenia. Spotkałem na ulicy robotnika ze wspólnego wyjazdu. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

Gdy zapytałem go, co o nim myśli, podrapał się w brodę zakłopotany.

— No, kiedy nam być szczerzy, to już powiem — ten wasz artykuł nie podobał mi się wcale.

Napisałeś żeśmy jeździli? Prawda. Ze pomagaliśmy chłopom z Ruska? Też prawda. Ale wiecie —

człowiek ma także głowę, myśli, kalkuluje. Patrzyłem w oczy chłopom, a oni mnie. Coś się w nas ważyło, coś przełamywało, coś więcej, niż sama pomoc, czy współpraca. No, kuli się sojusz. Rozumiecie chyba, wy to lepiej potraficie określić, niż ja...

Nie. Nie potrafiłem lepiej.

Myślałem o tym długo. I wtedy właśnie dowiedziałem się o konkursie „Wsi”.

nie rozwój i obraz wsi, tej bez cudzysłowu, odmalowuje równoległe z nią walkę i pracę klasy robotniczej. Socjalizm zmierza do ustroju bezklasowego. Coraz bliższe są drogi między miastem a wsią.

To naczelną zagadnienie rozpadła się na szereg aspektów: drobnym jego wycinkiem jest sama praca techniczna, udzielana przez miasto wsi. Wyjazd ekipy robotniczej na wieś — to przede wszystkim przełom psychiczny i w duszach członków ekipy i mieszkańców wsi. To dalekie przełamanie rogatk kulturalnych, dzielących miasto od wsi nie zwyczajnym i cienkim szlabanem, ale chińskim murem, przez który przedostawali się do niedawna chorzy na ludomanię apostołowie i oszuści polityczni.

Wyjazd ekipy robotniczej na wieś — to nauka dobrego społecznikostwa, to zrozumienie ważności produkcji przemysłowej na wsi, a rolnej w mieście. To wymiana doświadczeń i wymiana wysiłków. To zespolenie dwu najważniejszych nurtów, dwu potężnych sił w życiu naszego społeczeństwa.

Święto pierwszomajowe święcie będziemy tego roku pod hasłem jeszcze bardziej zacieśniającego się sojuszu robotniczo-chłopskiego. W pochodach pierwszomajowych już nie krakowskie banderki, rogatywki z czerwonej bibułki i przepłatanie wstążeczkami białej, całej ta smutna spuścizna po drugiej, międzywojennej rzeczywistości, ale traktory, kombajny, kombinatory symbolizujące i reprezentujące będą wieś. Więcej kinooptatorów, traktorzystów, elektrotechników, agronomów. Nauka, złączona z przemysłem, zamieniająca pierwotne formy gospodarki wiejskiej na potężne kombinaty produkcji rolnej.

Dlatego właśnie sojusz robotniczo-chłopski i praca ekip robotniczych wydała mi się najważniejszym tematem konkursowym.

Już po wysłaniu mojej pracy na konkurs spotkałem przypadkiem w mieście wycieczkę z tegoż Ruska. Przybyła na zaproszenie robotników. Chłopi oglądali maszyny do wyburzania murów, kruszarki, buldożery. Obiecali pomoc. To był chyba też współpracy etap drugi.

O trzecim dowiedziałem się już z prasy. Nie dalej, jak trzy tygodnie temu przeczytałem, że w Rusku powstała spółdzielnia produkcyjna.



Siadłem do mojej pracy konkursowej. Ma ona wiele błędów. Opracowana jest pośpiesznie. Ciężko na niej balast zbędnej literackości. Nie umiem się jeszcze wgrzyźć w psychikę, zrozumieć dobrze podejście robotnika i chłopca, choć z ekipami jeździłem nie raz.

Ale właśnie praca ekip zainteresowała mnie najbardziej.

Nie dla wdzięcznej tematyki. Nie dla możliwości zestawienia dwu światów, dwu klas. Ani nawet nie dla uwypuklającej się wyraźnie walki klasowej na samej wsi w wypadkach takich odwiecznych.

Pomijając wszelką publicystykę — odwołamy ekipy robotniczej na wsi uważam za najbardziej dramatyczny i najbardziej znamieny dla naszej epoki fakt.

Członkowie jury ocenili, że często autorowie pierwszych nagrodzonych prac traktowali swoje wsię w oderwaniu od świata, jak gdyby były one wyspami na oceanie, odkrywanymi przez nowego Robinsona. Ocena była słuszna, zarzut nie do odparcia.

Przecież socjalizacja, a co za tym idzie, olbrzymi rozwój wsi polskiej nie byłby możliwy bez zdobycia władzy w Polsce przez klasę robotniczą. Przecież błędem niewybaczalnym wielu partii ruchu robotniczego, błędem luksemburgizmu było właśnie owo niedocenianie sojuszu robotniczo-chłopskiego. Przecież sa-

ma „Wies”, aby odzwierciedlić traf-

NA KONKURS „WSI”

Nie kwestionując więc, dotychczasowych rzetelnych wysiłków pisarzy w tej dziedzinie, muszę powiedzieć o sobie, że wybrałem *reportaż literacki*, jako to formę wypowiedzi, która łączy publicystykę i pracę literacką, która pozwala uchwycić aktualną problematykę na gorąco i którą najłatwiej można wprowadzić na tory socjalistycznego realizmu.

I tu chciałbym poruszyć niezmiernie dla mnie ważny problem, wiążący się z reportażem, uczciwym, prawdziwym reportażem o wsi. Napisałem przed chwilą o reportażu jako o formie w wypowiedzi literackiej, pozwalającej uchwycić aktualną dzisiaj (nie wczoraj, i może już nie jutro) problematykę terenu.

Ale i reportażu nie piszę się za biurkiem redakcyjnym czy „domowym”. Reportaż piszę się w terenie. Reportaż wymaga obserwacji, wymaga przegryzienia się przez wszystkie płaszczyzny, narzucające się piszącemu przy pobycie tylko poznaniu tematu.

DOBRA WOLA I PRACA ZORGANIZOWANA

Celem Konkursu, jak sądzę, było zmobilizowanie uwagi ludzi pióra wokół spraw chłopskich, spraw 60% ludności kraju, spraw naszego rezerwuaru żywnościowego, od którego prawidłowego rozwoju zależęć będzie Plan Sześcioletni, zależęć będzie budownictwo Socjalizmu w Polsce, zależęć będzie zatem wartość naszego udziału w międzynarodowym froncie walki o Pokój.

Pisarze, dziennikarze — na zaniebdany literacko odcinek! — mogłoby brzmieć hasło konkursu. Stusznosc celowosc takiej mobilizacji nie wymaga wyjaśnienia. Potrzebna jest ona czytelnikowi w mieście, potrzebna jest chłopom, potrzebna jest samemu piszącemu. Wzobogaca wszystkich.

Ale każda mobilizacja ma na celu osiągnięcie trwałych sukcesów.

Konkurs wtedy spełni swoje zadanie, jeżeli jego uczestnicy wlezą na dobre w sprawy wsi, jeżeli będą kontynuować reportaż literacki ze wsi, jeżeli staną się dobrymi specjalistami tej tematyki. Nie oznacza to, że mają się zasklepić tylko w tej dziedzinie.

Chodzi więc o mobilizację *trwałą*, nie próbną. Chodzi o poważne zadanie dla ludzi pióra w okresie realizacji planu budowy fundamentów socjalizmu.

Nie wątpię, że znaczna większość uczestników konkursu ma najlepszą wolę podolania tym zadaniom, że ich zainteresowanie chłopską problematyką nie ogranicza się tylko do konkursu „Wsi”, ale rozszerza się na całą wsi.

Obok dobrej woli — jest jednak jeszcze problem technicznych możliwo-

ści, jako że, powtarzam, reportaż pisze się na wsi, w terenie. W pewnej mierze sprawę tę uregulowano jeżeli chodzi o zorganizowanych pisarzy, umożliwiając im dłuższy pobyt w ośrodkach wiejskich. Cóż jednak zrobić z piszącymi, a nie zorganizowanymi, co zrobić z publicystą, który, mimo, że „uprawia” reportaż, nie może na dłuższy czas opuścić redakcji, a gdyby nawet mógł, to z czegoś na wsi żyć musi.

Nie mówiąc już o jego rodzinie, którą ludzie pióra bywają również obdarzeni. Wydaje mi się, że problem ten winien być uregulowany przez Związek Dziennikarzy, w ten sposób, by ludzie, którzy wykazali się zainteresowaniem problematyką wiejską i zdali egzamin ze swych literacko-reportażowych umiejętności — mogli być zwalniani przez swoje redakcje, niezależnie od pełnionych w nich funkcji, nie tracąc prawa do normalnych poborów dziennikarskich.

To byłaby uwaga techniczna, konieczna, jeżeli chodzi o tych uczestników konkursu, którzy gotowi są do pogłębiania swego kontaktu ze wsią, a którzy nie znajdują się w sytuacji pisarza zorganizowanego.

WAGA STAŁEGO KONTAKTU

Współpraca w tej sprawie zawodowej organizacji literatów (Z.L.P.) i Zw. Zaw. Dziennikarzy, redakcji zainteresowanych pism, Partii politycznych i masowych organizacji społeczno-gospodarczych — mogłaby stworzyć ludziom piszącym o wsi nieodzowne, techniczne warunki pełnej realizacji ich literackich a przy tym politycznych zadań. Politycznych nie tylko w sensie ciężaru gatunkowego, ideologicznego ich wypowiedzi na łamach pisma, ale w sensie nawiązania żywego, politycznego kontaktu ze środowiskiem chłopskim. Kontakt ten, wzbogacając pisarza, wzbogaca chłopów. Ten kto mieszkał na wsi — ten wie, jak, po przełamaniu pierwszych lodów nieufności, narasta codzienna, intensywna niezmiernie ciekawa współpraca między człowiekiem z miasta, inteligentem, pracownikiem kultury a ludźmi wsi. Wie, jak staje się przydatny, wie, jak przydatność i potrzebę teren chłopski umie ocenić, umie twórczo wykorzystywać.

Pamiętam, że pracując stale na terenie miejskim przed wojną, odczuwałem w sobie, zagłębiony w problematyce politycznej miejskiego proletariatu i miejskiej inteligencji postępowej, sam ulegałem nastrojom pewnego lekceważenia spraw chłopskich, szerczonemu przez burżuazję i jej prawicowe agencje w ruchu robotniczym, a podsyconemu wystąpieniami kulackich „reprezentantów” wsi, mogących do wsi na dobre

zniechęcić każdego mało wyrobionego działacza.

Wyłomem był strajk chłopski, wyłomem w tej fałszywej, błędnej ocenie wsi młodego działacza studentkiego, jakim byłem, był stary, schorowany chłop spod Białogostoku, który wypytywał mnie o „Dziennik Popularny”, o ludzi, piszących do „Dziennika”, o ruch rewolucyjny w mieście. Wtedy usłyszałem słowa „sojusz robotniczo-chłopski” po raz pierwszy z ust chłopca. I wtedy postanowiłem rozstać się na pewien czas z klasykami marksizmu, pojechać na wieś, przeżyć i doświadczyć samemu to, co przedtem czytałem w formie naukowej, politycznej, ekonomicznej rozprawy.

Były to jednak marzenia, którym brak było wszelkich możliwości realizacyjnych: Warszawa! jej „sprawy”, narastający kryzys wojenny — trzymały, nie pozwalały wyjechać. Nie było też mowy o pisanu o wsi na łamach ówczesnej młodzieżowej prasy bardzo miernie lewicowej, bo



Na wiejskiej drodze

krepowanej przez reakcyjną linię polityczną CKW. Zresztą co, poza frazesami, mógłbym wówczas, nie znając wsi, napisać??

KOPALNIA TWÓRCZOŚCI

Dopiero wojna, która rzuciła mnie na szereg lat na teren wsi Kieleckiej pozwoliła mi na ujęcie tak barwnej mozaiki zagadnień, takiego bogactwa tematów, takiego ogromu możliwości pisarskich, że czułem się tym odurzony, jak mocnym winem. I czuję się nadal, chociaż znowu jestem od wsi oddalony.

Moznaby zarzucić, że niedoceniam problemów miasta, że w tym upiściu się wsią naprawdę po piątku, tracę poczucie rzeczywistości. Nie. Wiem, że kluczowe zagadnienia rozgrywały się w mieście, na fabrykach, w hutach i kopalniach. Ale wiem też, że wieloletnie zaniedbanie kulturalne wsi, stworzyło w literaturze polskiej lukę tematyczną, równie szkodliwą dla literatury, jak i dla wsi.

O podziale klasowym miasta wiem dobrze, rozumiemy jego mechanikę, piszemy o tym od dawna, inna rzecz, że często w sposób daleki jeszcze od realizmu socjalistycznego. Podział klasowy wsi — jest natomiast dla pisarza, dziennikarza, reportażysty — czymś w praktyce nowym, zaskakującym.

Takie przykłady można by mnożyć dziesiątkami.

Kiedy na kieleckiej wsi w latach okupacji tworzyliśmy podziemną organizację robotniczą, lewicową, RPPS — musiałem stale zdumiewać się entuzjazmem ludzi. A co dopiero, gdy okazywało się, że są wśród nich działacze od lat, ludzie z tradycjami bojówek SDKPL i PPS z okresu rewolucji 1905, ludzie prześladowani za socjalizm przez sanację.

Kiedy przedtem jeszcze stolarz wiejski, właściciel 2' ha ziemi, Braszko, w 1941 r. powiedział mi: „Teraz, człowieku, koniec z Hitlerem. Przegrał. A tu do nas przyjdzie Armia Czerwona i dopiero zrobimy porządek” — brzmiało to wtedy, przynajmniej, niecodziennie. Nie mówiąc



Delegacja PZPB nr. 17 z Łodzi na uroczystościach w Rawie

Powyżej zamieszczamy
 wypowiedzi autorów,
 którzy nadesłali swe prace
 na konkurs „Wsi”

Kazimierz Dębniak

STANISŁAW TAZBIR

PRZED NAMI TEREN

NA DYSTANSIE 85 KM.

Podróż, z której chcę tutaj podać moje spostrzeżenia, była bliska, zafalała mi tylko dwa dni i odbyła się na przełomie marca i kwietnia. Przyznaję się, że relacje całkiem świeże. Była ona — gdy chodzi o wyjazd — dwurazowa i okolicznościowa, jednak bynajmniej nie przypadkowa dla spraw, które będą omawiane. Raczcież mi powiedzieć, że przeciwnie, była najściślej związana z moimi zainteresowaniami w dziedzinie czytelnictwa. Tak się złożyło, że musiałem ją odbyć w wyznaczonym mi kierunku, który określał, jako końcowy punkt wyjazdu jedno z powiatowych obecnie miast Polski, w odległości mniej więcej 85 km od stolicy.

Takich tras, jak droga mojej podróży, można by wyciągnąć od Warszawy we wszystkich kierunkach — przynajmniej kilkanaście. Gdyby odbyć po nich bodaj najkrótsze wycieczki, zebrałoby się niewątpliwie wiele charakterystycznego i bardzo przydatnego, a przede wszystkim porównywalnego materiału. To, że przedstawiam obserwacje tylko z jednej trasy i z krótkiego „wypadu” jest słabą stroną tego artykułu, z czego, rzecz jasna, zdaje sobie sprawę. Dalej, chcę jeszcze zaznaczyć, że dobrze rozumiem, iż wartość moich spostrzeżeń mogłaby należeć do sprawdzona i wybitnie by wzrosła dopiero wtedy, gdyby trasy, o których wspominałem i podróże podobne do mojej zostały przedłużone aż do krańców kraju.

Ograniczając przez powyższe zastrzeżenia wagę tych obserwacji do właściwej miary, mimo to sądzę, iż można je uznać na ogół za wystarczające, jako realne, choć składowo tylko zarysowane tło pod zjawiska i sprawy, które pragnę dalej wypunktować. Opiaram to przedświadczenie na tym, że województwo warszawskie, którego teren trasa moja przecinała, przedstawia jak mi się wydaje obraz średniej jakości w zakresie stosunków ogólnych i tych specjalnych, które nas tutaj interesują.

Powiat i jego miasto główne, których odwiedzin były celem moich dwóch wyjazdów uważam również za dość przeciętne jeśli chodzi o ich „fizjonomię” ogólną i tzw. nastroje.

Według danych, które udało mi się zebrać, częściowo tylko ścisłych, a w innych kwestiach z konieczności przybliżonych, powiat zajmuje obszar 1.354 km² (w tym 55 proc. gruntów rolnych i 14,5 proc. lasów) i posiada około 140 tysięcy mieszkańców. Ma oprócz miasta powiatowego 2 miasteczka, liczące niewiele ponad 2 — 3 tysiące ludzi każde i 22 gminy wiejskie, skupiające ogółem 400 (czy 396) gromad. Ziemia w powiecie w większości gliniasto-piaszczysta, jest niezbyt urodzajna. Gleby powyżej średniej jakości mają tylko 4 gminy, poniżej — również 4. W różnych miejscach powiatu występują wartościowe gliny, przydatne, zdaniem znawców, do wyrobów ceramicznych, o których produkcji myśli się w ramach Planu 6-letniego. Przed wojną powiat posiadał garbarnię, młyn, fabryki wyrobów cementowych i ceramicznych, wag, kłodek, mydła, wódek, hutę szklaną oraz handel bydłem i ziemniakami.

W okresie planu 3-letniego przemysł częściowo ruszył, montuje się dalej i ma nadzieję na odpowiedni, planowy rozwój w okresie najbliższego 6-lecia. Wiąże się z tym, naturalnie, także rozwój odpowiedniego budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego.

Miasto główne liczy ponoć około 35 tysięcy mieszkańców, należy więc do naszych największych miast powiatowych. Jest mimo to dość nie-ruchawe i nie pomaga, ani, że leży ono niezbyt daleko od Stolicy, ani to, że umiejscowił się w nim od dawna węzeł kolejowy.

TROCHĘ LICZB OGÓLNYCH

Cóż na tle tego pobieżnie szkicowanego stanu rzeczy pod względem administracyjnym — gospodarczym da się powiedzieć o liczbach, rzucających jakieś światło na istniejące w powiecie stosunki oświatowe, kulturalne i społeczne i w szczególności biblioteczne — czytelnictwo?

Powiat posiada w mieście głównym 10 szkół średniego różnego typu i 10 podstawowych, a poza nim w miasteczkach i gminach 130 szkół powszechnych, w czym około 40 jednoklasówek. Nauczycieli we wszystkich szkołach jest ogółem około 600, z czego na szkolnictwo powszechne przypada blisko 460 osób. Spora grupa nauczycieli, jak mi mówiono „sam kwiat”, rozproszyła się w swoim czasie po Ziemiach Zachodnich, a spośród obecnych około 100 osób uzupełnia jeszcze w toku pracy swoje formalne kwalifikacje pedagogiczne. Są nieliczne jeszcze przedszkola, w tym 4 w mieście powiatowym. Punkty radiofoniczne (radiowęzeł w mieście powiatowym) rozwinęły się do tychczas słabo, kino — również.

Co się tyczy działalności kulturalnej Powiatowego Związku Samopomocy Chłopskiej i Powiatowej Rady Związków Zawodowych, to opiera się ona, o ile można było ustalić, głównie na świetlicach, których życie na terenach wiejskich podtrzymują w miarę możliwości Kola ZMP. Świetlice wiejskich mielibyśmy się dołączyć „na upartego” około 36, ale Zw. Samopomocy Chłopskiej mówi poważnie tylko o 15. Kola Związków Zawodo-

wych przy zakładach pracy wskazują na razie około 12 świetlic, prawie wyłącznie w mieście powiatowym.

Rozwódzić się na temat żywotności świetlic czy poziomu pracy najlepszych z nich byłoby tutaj nie na miejscu. Ogólnie więc tylko można stwierdzić, że poza działalnością kolejarzy i 4 — 6 świetlic wiejskich praca świetlicowa nigdzie nie zapewniała sobie niezbędnych warunków rozwoju wobec czego pozostawia ona wszędzie wiele jeszcze do życzenia.

Znacznie korzystniej przedstawia się w całym powiecie sprawa księgozbiorów w bibliotekach tzw. powszechnych. W mieście powiatowym znajduje się biblioteka miejska, licząca około 12 tysięcy tomów, prawie cząca około 15 tysięcy tomów i biblioteka powiatowa, obsługująca teren wiejskie. W 19 gromadach wiejskich istnieją pod opieką świetlic niewielkie księgozbiory „miejscowe” fundowane głównie przez Zw. Sam. Chłopskiej (obejmują one niewiele ponad 2 tys. tomów). Kola Zakładowe Zw. Zawodowych wykazują prawie we wszystkich świetlicach różnej wielkości księgozbiory „własne”, niekiedy dość pokaźne (1300 — 1500 książek). Każda gmina wiejska posiada gminną bibliotekę powszechną; księgozbiory tych bibliotek powstają z dotacji Ministerstwa Oświaty. Oprócz nich, w oparciu o bibliotekę powszechną i częściowo o biblioteki gminne założono w 80 gromadach wiejskich tyleż punktów bibliotecznych. Z porównania ogólnej liczby gromad z liczbą punktów wynika, iż na 5 gromad wiejskich przypada 1 punkt biblioteczny (dla porównania z siecią świetlic: 1 świetlica „restrykcyjnie” — na 11 gromad, w rzeczywistości — na 26 gromad). Według danych z marca br. we wszystkich bibliotekach gminnych i punktach bibliotecznych znajdowało się 19.621 tomów, co stanowi łącznie z książkami „miejscowymi” we wspomnianych wyżej 19 gromadach 21.726 tomów. Daje to przeciętnie 1 książkę na 5 mieszkańców wiejskich. W porównaniu z tym stopień zaopatrzenia w książki mieszkańców miasta powiatowego wyraża się stosunkiem: 1 książka na ca 1 i pół mieszkańca.

„UŻYTKOWNICY” KSIĄŻKI

Oczywiście, powyższe dane nie jeszcze nie mówią o rzeczywistych użytkownikach książki „powszechnej”, a więc o tym, co było by jedynie miarodajne dla oceny stopnia rozwoju czytelnictwa. Zebrać dane, dotyczące tego najistotniejszego zagadnienia następczo w o-



Wacław Dobrowolski — Walka z analfabetyzmem
Z Ogólnopolskiej Wystawy Plastyków — fot. I. Piotrowicz

mawianym powiecie, podobnie jak następczo zapewne w całym kraju trudności wobec których nawet najwnikliwszy badacz jest niemal całkowicie bezradny. Bo jak zachować się wobec relacji, z których jedna (władze szkolne) określa liczbę czytelników w marcu w całym powiecie (poza miastem powiatowym) na około 10 tysięcy, gdy druga (Z. S. Chł.) — wyraża ją w liczbie 2.64 czytelników w gminnych bibliotekach i punktach bibliotecznych oraz w liczbie 369 czytelników, korzystających z księgozbiorów „miejscowych” (przy świetlicach)?

Sądzę, że wiarygodniejsze są liczby, że ostatnie. Mówiłyby one zatem, że niespełna 3 tysiące osób korzysta z książki „publicznej”, co daje mniej niż 3 proc. w stosunku do ogółu mieszkańców wiejskich. A więc, gdy widzieliśmy wyżej, że 1 książka przypada „teoretycznie” na 5 mieszkańców, to „praktycznie” tylko 3 ludzi na 100, należy do użytkowników księgozbiorów znajdujących się obecnie na terenach wiejskich powiatu.

Trzymając się dalej powyższych, niestety, niepewnych relacji, trzeba by przyjąć, że owa liczba niecałych 3 tysięcy czytelników miała w swych rękach (wypożyczyła) w marcu 8 i pół tysiąca książek. Gdyby tak było, przypadałoby mniej więcej 3 wypożyczeń na osobę w miesiącu. Świadczyłoby to o dużej intensywności czytelnictwa wśród tych, którym książka jest bliska. Ale w rozstrząsaniach powyższych liczb i wskaźników należy zachować wielką ostrożność. Należy ją zachować i w tym przypadku i w ogóle, ponieważ brak dotąd odpowiednich badań szczegółowych i ogólniejszych, a sprawozdawczość sama w zakresie biblioteczno — czytelnictwa bardzo jeszcze szwankuje

Niemniej i w świetle powyższych rozważań i na podstawie różnych innych obserwacji narzucają mi się następujące wnioski w stosunku do całości zagadnienia: 1) „krążenie” książki tzw. publicznej jest słabe, 2) inwestycje państwowe, poczynione w dziedzinie bibliotecznej na przełomie 1948/49 roku nie są dotychczas nigdzie dostatecznie eksploatowane, 3) należy znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy i usprawnić „obieg” książki.

O RUCHU SZKOLENIOWYM

Gdy w gospodzie powiatowego miasta znalazłem się poraz pierwszy, zastałem przy śniadaniu sporą grupę kursistów, złożoną, jak przypuszczam z kolejarzy. Ludzie młodzi (najstarszy mógł mieć niewiele ponad 30 lat), sprawni, kulturalni, przyjaźnie-swobodni wobec siebie. Szybko spożyli posiłek i szybko opuścili lokal, śpiesząc widocznie do pracy. Gdy zapytałem podającego mi kawę (kawy „prawdziwej” w tym czasie w Warszawie „nie było”), czy często nawiedzają gospodę „stolownicą” — podobni do tych, którzy wyszli, otrzymałem odpowiedź, że w tym dniu była to już trzecia grupa. Po tym dowiedziałem się, że obok akcji szkoleniowej nie brak także w powiecie zjazdów, odpraw i różnych zebrań wyborczych.

Zatem odbywa się — i to na pewno w każdym powiecie — intensywna praca organizacyjno — szkoleniowa, aktywizująca liczne rzesze wybitniejszych jednostek spośród mas robotniczych i chłopskich. Czyż może to nie napawać wielkim optymizmem? Musi napędzać radością każdego działacza, zwłaszcza gdy się założy, że pracy tej będzie towarzyszyć coraz większa planowość i starannie przemyślana programowość.

Gdy o tych sprawach myślę, od czuwać, niestety, obawę, że w dziedzinie ruchu biblioteczno — czytelniczego, a nawet w całej dziedzinie kulturalno — oświatowej mamy w zakresie szkolenia, zwłaszcza kadr ochotniczych, ogromne opóźnienia i zaległości. Dostrzega się to łatwo i stale i niemal na każdym miejscu. Stąd częste, choć może niekiedy nadmierne, utyskiwania i wołanie o pomoc.

Byłem tego świadkiem na Zjeździe działaczy ochotniczych pracowników świetlicowych, zorganizowanym przez Zw. Samopomocy Chłopskiej. Po tym potwierdziło się to samo na niedużej konferencji przedstawicieli świetlic Związków Zawodowych.

Na Zjeździe było, około 40 osób; przedstawiciele wsi, sporo młodzie-

ment. Taki, jaki się ma do kogoś, kogo się lubi, szanuje i komu się wierzy; kto może dać dobrą radę, gdy się o nią zwrócić i umilić życie, gdy się ma ochotę oderwać od zwykłych, codziennych zajęć.

Gdy przewodniczący, poważny, o suchej budowie, pewnie z 50 lat liczący chłop, dość wyrobiony, zamykał Zjazd, wołał: „Damy sobie wreszcie radę, ale pomóżcie nam. Pomóżcie przede wszystkim wy, nauczycielstwo, wszędzie, gdzie jesteście. Bo do was zwłaszcza młodzież ma zaufanie, nieraz większe niż do nas. Wyciągnijcie pomoc”. Tym apelem kończył się Zjazd.

A coż nauczyciele? Ci co byli na sali, oczywiście, pomagają, wkładają wiele pracy. Wynikało to nie tylko z ich sprawozdań, ale i ze stosunku ludzi do nich. Pomagają na pewno także inni. Ale i oni mają kłopoty i sprawy, które nieraz utrudniają im, a nawet uniemożliwiają współdziałanie, czy choćby tylko roztaczanie opieki nad tym, co się dzieje w zakresie kulturalnym wsi. Pochłania ich szkoła, absorbuje walka z analfabetyzmem, sprawy rodzinne, słowem — różne zawiady stoją na przeszkodzie.

Moim zdaniem, w dalszym rozwoju prac oświatowo — kulturalnych, a szczególnie, gdy idzie o ruch biblioteczno — czytelnictwa, nauczycielstwo mnożącym się zadaniom nie poddaje. Za wiele od niego chcemy wymagać, za często się na nie ogłdzamy. Nie powinno się sił jego i energii nadmiernie rozdrabniać. Trzeba przyspieszać i rozszerzać rekrutację kadr ochotniczych i przy nich pomoc nauczycielstwa w sposób właściwszy — spożytkować. Mam tu na myśli przede wszystkim rolę nauczycielstwa, a z kolei i bibliotekarzy — w upowszechnianiu czytelnictwa.

AKTYWISCI

Idzie mi przede wszystkim o aktywistów dla potrzeb czytelnictwa, jeśli ma ono być „masowe”.

J. Stalin czujną i pilną uwagę zwraca ciągle na zagadnienie „aktywistów” we wszelkich dziedzinach życia radzieckiego.

Rezultatem tej ustawicznej troski Wielkiego Wodza Związku o wychowanie kadr przedwojennych przy pomocy Partii i opiece Rządu, w oparciu o planowość w działaniu i przy niestrudżonym dążeniu mas do coraz większych i wyższych osiągnięć jest między innymi to, że Związek Radziecki może się dziś poszczycić w dziedzinie społeczno — ochotniczej działalności kulturalnej (w tym ruchu biblioteczno — czytelniczego) takimi zdobyczami, które świat zadziwiają. Wystarczy dla ilustracji podać niektóre dane, charakteryzujące pod tym względem działalność połączonych radzieckich Związków Zawodowych. Oto liczby: 300 pałaców i domów kultury (w tym imponujący pałac im. Kirowa w Leningradzie, Pałac Moskiewskich Zakładów Samochodowych, Dom Kultury fabryki „Czerwona Zorza” w Taszkencie itp.), 7500 czynnych Klubów Związkowych, 75 tysięcy „czerwonych kąpeków”, 10 tysięcy chórów, 3 tysiące orkiestr, 5 tysięcy Kół dramatycznych, 2 tysiące brygad agitacyjnych itd.

Do tego dodajmy: parki kultury i wypoczynku, instytucje biblioteczne, organizacje kulturalne dla dzieci i inne.

Świadcetwem przenikania działalności związkowej do najdalszych ośrodków, stających i czasowych są: specjalne staki agitacyjne, pociągi-kluby, wagony-kluby, a nawet przewoźnicze „kioski kultury”.

O zasobach i zasięgu akcji biblioteczno — czytelnictwa Związków można powziąć należyte mniemanie, gdy się zważy, że np. Gorkowska Fabryka Samochodów rozporządza w swym klubie 105 tysiącami książek, Czelabińska Fabryka Traktorów — 80 tysiącami, Moskiewska fabryka łożysk kulowych — 120 tysiącami książek itd.

Dodawszy do tego ogromne wysiłki i wyniki pracy kulturalno — oświatowej w państwowych przedsiębiorstwach kolektywnych — otrzymamy obraz zaiste imponujący. Czy byłby on do pomyślenia bez czynnego, wydatnego, pełnego zapału — uczestnictwa i ofiarnej pracy wielu setek tysięcy „aktywistów” — większej i mniejszej miary, w zależności od rodzaju zadań i skali potrzeb organizacyjnych?

Co się tyczy stanu rzeczy u nas, w Polsce, to wiadomo: jesteśmy dopiero na początku drogi. Ale tym bardziej winniśmy wykorzystać doświadczenia, poczynione w Związku Radzieckim. Tym bardziej trzeba chyba należałoby zwrócić od razu uwagę — między innymi — także na sprawę odpowiedniego pod względem ilościowym i jakościowym przygotowania kadr różnego rodzaju pracowników. Próby, czynione w tym zakresie od kilku lat, niestety na małą skalę, upoważniają do twierdzenia, że kandydaci zdolnych i chętnych wystarczy. Trzeba jednakże i tutaj, jak we wszystkim dokładnego planu i konsekwentnego wykonania. Wydaje się, że sprawa wygląda najpóźniej, choć może nie najtrudniej, w zakresie potrzeb świetlicowych i ruchu biblioteczno — czytelniczego.

Stanisław Tazbir



Członkowie spółdzielni produkcyjnej im. gen. K. Świerczewskiego czytają numer „Gromady” poświęcony rocznicy Jego zgonu.

Przekład Ewy FISZER

NAZIM HIKMET

PADA ŚNIEG

poemat o Hiszpanii napisany w 1937 roku.

Nie słuchać mi głosu z góry,
Nie zamykać w tkaninie linijek
niewypowiedzianych rzeczy,
Nie szukać mi rymów jak Orfeusz,
Pięknych słów, sławy wielkiej...
Bogu niech będą dzięki, dziś wieczór
jestem ponad tym wszystkim.

Dziś wieczór
jestem śpiewakiem ulicy
I nie sztucznego nie ma
W głosie śpiewaka ulicy,
Choć ty go nie usłyszysz,
Mimo że dla ciebie śpiewam.

Śnieg pada,
Noc wisi,
Stoisz u wrót Madrytu
Masz przed sobą całą armię miast,
Która zabija wszystko to,
co mieliśmy najpiękniejszego:
Nadzieję, tęsknotę, wolność, dzieci
i pokój.

Pada śnieg,
Zimno ci pewnie dziś wieczór
w przemokłe stopy.

Pada śnieg,
może właśnie w tej chwili
kula twe serce stalowe
topi.
Więcej śniegu, więcej wiatru,
abyś nie czuł.

Pada śnieg,
Wisi noc.
Ty, który mówisz „No pasaran” dziś
U wrót Madrytu.

Istniałeś przedtem,
kim jesteś, skąd przychodzisz?
Może z kopalni Asturii,
Może odniosłeś rany na Północy
I łachman skrwawiony
je okrywa,

Może to z karabinu twego
Padła ostatnia kula
kiedy junkrzy palili Bilbao,
A może byłes wyrobnikiem
Na fermie pewnego hrabiego
Fernanda Walescero de Cartolan?

A może na Puceta del Sol
we własnym sklepiu
Sprzedawałeś owoce o żywych
kolorach sztandaru Hiszpanii?
Może nie miałeś zawodu,
Miałeś może piękny głos,
Może byłeś studentem
I twe książki wloką gąsienice
itałskich czołgów,

Może nie wierzysz w niebo
A może nosisz na szyi
Krzyżyk zawieszony na nitce?
Kim jesteś, jak się nazywasz, ile lat liczysz sobie?
Nie widziałem, nie zobaczę nigdy twej twarzy,
Kto wie, może przypomni tych co pobili Kołczaka,
Lub tych co padli w Dumlupinarze,
A może jak sam Robespierre jesteś srogim?
Nie znasz mego imienia i nie usłyszysz go nigdy.
Pomiędzy nami są morza
Góry i moja przeklęta
Bezsilność.

Jest Komitet. Nie-in-ter-wen-cji.
U twego boku stanąć mi nie wolno
I postać tobie mi nie wolno
ani skrzynki naboju,
ani jaj świeżych,
ani nawet ciepłych skarpet z wełny.

A przecież wiem, że twe stopy
U stóp Madrytu w ziemię wryte
Marzną jak dwoje dzieci
Nagich.

I wiem także,
że wszystko, co istnieje,
wielkie i piękne,
że wszystko, co człowiek odnajdzie wielkiego i pięknego,
To znaczy wszystko to, czego ja
ogromną tęsknotą się spodziewam,
Śmieje się w oczach mej warty
u wrót Madrytu.
I wiem, że wczoraj, jutro, a także dzisiejszego wieczoru
Nie prócz ciebie nie mogę kochać.



Sądzę, że lekturę radzieckich powieści o wojnie należy zaczynać od „Białej Brzozy” Michała Bubiennowa. Nie tylko dlatego, że krytyka radziecka uznawała ją za jedną z najlepszych, ale i dlatego, że powieść ta jest swojego rodzaju propedeutyką zagadnień Wojny Ojczyźnianej.

Bubiennow postawił sobie ambitne zadanie przedstawienia pierwej i, jak się później okazało, decydującej fazy wojny; rysuje on drogę odwrotu armii radzieckiej, jesienią 1941 — *odwrotu węgryńskiego*, gdyż był on zarazem drogą, jaką przebył człowiek radziecki od pozycji „zwykłego” cywila do zaszczytnej pozycji bohatera spod Moskwy i Stalingradu. W ten sposób znana nam już z innych powieści radzieckich o wojnie problematyka służby: obowiązku, poświęcenia i walki ze strachem pogłębia Bubiennow przez jeden zasadniczy problem, który w wymiarze masowym nosi nazwę: zwycięski odwrot, a sprowadzony do wymiaru indywidualnego brzmi: narodziny żołnierza.

„Nasz odwrot w październiku — mówi jeden z bohaterów powieści — historycy będą studiowali ze zdumieniem i z takim zainteresowaniem, z jakim studiuję się operacje zaczepne”.

W „Białej Brzozie” odwrot ten oglądamy zarówno od strony wsi radzieckiej jak i cofającej się Armii Czerwonej. Do tego celu posłużyli autorowi dwa wątki organiczne z sobą powiązane. Jeden to dzieje osobiste Andrzeja Łopuchowa i jego pułku, drugi to dzieje rodzinnej wioski Andrzeja — Olchówki i jego najbliższych: żony Marijki i ojca Jerofija Kuźmicha. Punktem styczonym obu wątków jest moment postępu oddziału Andrzeja w Olchowce.

EDMUND NIZIURSKI

PROBA CHARAKTERÓW*)

Obraz kreślony przez Bubiennowa jest obrazem skończonym; nie dlatego, by autor śledził poruszenia całego frontu i po kronikarsku „wiernie” kopiował złożoną rzeczywistość odwrotu w każdym jej szczególe, ale dlatego, że pokazał istotną i typową w tym okresie postawę radzieckich ludzi. Autor nie ustępuje przed „naporem” rzeczywistości wojennej i bogactwem faktów i zdarzeń, z którymi nie wszyscy pisarze radzieccy umieli sobie poradzić. Ogranicza liczbę postaci powieściowych, wprowadza na scenę głównego bohatera. „Biała Brzoza” nie przypomina już reportażu jak wiele powieści radzieckich tego rodzaju, mimo, że jej autor także czerpał materiały z własnych doświadczeń. Jest to powieść w klasycznym tego słowa znaczeniu. Wszędzie widać w niej silną rękę artysty starannie selekcjonującego materiał i z pełną świadomością przebiegającego w środkach ekspresji.

Jeszcze jedna cecha podnosi wartość książki Bubiennowa. W „Okopach Stalingradu”, w „Kurhanie Mamaja”, w „Dniach i Nocach” osobowość żołnierza ujęta jest w zasadzie statycznie. Momenty tak charakterystyczne i cenne dla pisarza, jak przemiana cywila w żołnierza i „aklimatyzacja wojenna” są tam bądź zepchnięte na plan dalszy, bądź zupełnie pominięte. Mamy tam do czynienia nie tyle z żołnierzami ile z wiarusami. Być może takie ujęcie usprawiedliwiała faza wojny. Akcja tych powieści rozgrywa się w drugim roku wojny. Bubiennow, podobnie jak Bek w „Szosie Wołokołamskiej”, przedstawia żołnierza w pierwszej fazie wojny, a więc jeszcze „cywila w mundurze”. Autor postawił sobie za zadanie uchwycenie na gorąco przekształcania postawy człowieka radzieckiego przez warunki wojenne. Interesują Bubiennowa zakłócenia rytmu życia obywatela przez wojnę oraz problemy i konflikty, jakie w związku z tym się wyłaniają. Wyłapuje on i artystycznie wygrywa to *przestawianie się na wojnę, wojenny ład*, o którym mówił Stalin w sławnym przemówieniu z dn. 3 lipca 1941 roku. Pokazuje edukację przyszłych bohaterów Moskwy i Stalingradu. Pokazuje jak dochodzą do głosu utajone cechy charakteru ludzi radzieckich, jak te cechy charakteru wyupuklają się i krzepną w ogniu wojny.

Lecz w „Białej Brzozie” wojna nie tylko wyupukla charaktery.



Ona je także *różnicuje*. Wojna działa na charaktery jak kwas na papier lakmusowy: ludzie w warunkach pokojowych pozornie „jednej miary” i „równie”, bezbarwni, objawiają się nagle jako typy krańcowe. Bubiennow pokazuje jak pod dotknięciem tej samej różnicy wypadków jedni stają się bohaterami, inni oportunistami i zdrajcami.

Według jakiego „rozdzielnika” odbywa się to różnicowanie moralne? Autor nawiązuje do przeszłości postaci powieściowych. To warunki i środowisko, w którym się obracali, rozwinięto u nich pewne cechy i skłonności. W chwili wybuchu wojny cechy te były w mniejszym lub większym stop-

niu utajone, dzięki „znormalzowanemu” życiu przedwojennemu. Dopiero wojna wydobyla je na wierzch i wojna pogłębiła je, a przez to zróżnicowała i różnicuje dalej, w miarę jak sytuacja staje się trudniejsza, w miarę jak więcej od człowieka się wymaga.

Głównego bohatera powieści Andrzeja Łopuchowa poznajemy jako nieśmiałego, łagodnego chłopca, przynęconego rozwojem sytuacji na froncie. Sytuację tę pokazał nam Bubiennow oszczędnie używając środków literackich od *uwagi*. Nie przez rozciąganie zbiorowych scen z masą ludzi i sprzętu, lecz przez przedstawienie, jak obraz odwrotu załamywał się w psychice przeciętnego

żołnierza — za pomocą paru charakterystycznych rysów zachowania się Andrzeja.

„Andrej wyobraził sobie nie wiadomo czemu, że ich batalion zabłądził wśród wiatru, jęku i huków. Otarli się twarz furazerką krzyknął:

— Czy my idziemy... tam, gdzie trzeba?”

Dalej zaś czytamy:

„Znajdowali na drodze pogubione części ekwipunku wojskowego: karabiny, granaty, plecaki, maski przeciwgazowe, hełmy... Andrej odczuł nagłą chęć, żeby to wszystko pozbiierać. Wkrótce dźwigał już na plecach pokaźny ładunek. Ujrawszy go z tym ciężarem Matwiej Jurgin przystanął na chwilę i ze zdziwieniem zapytał: — A to... po co dźwigasz?”

Andrej zwał na ziemię stertę zniszczonej broni i amunicji, długo na nią patrzył i dziwiąc się sam, że mógł nieść taki ciężar, powiedział z wyrzutem w głosie: — Rzucą... tyle cennych rzeczy!”

Dla spotęgowania dramatyczności sytuacji autor wytyczył trasę odwrotu przez rodzinną wioskę Andrzeja — Olchowkę. Tu Andrej z pomocą dzielnej Marijki opiera się namowom ojca, by porzucić wojsko. Potem wraz z pułkiem oślania przeprawę armii przez rzekę Wazuze, zdobywa pierwszy chwałę wojny, uczy się nienawidzić wroga i walczyć do upadłego. Odcięty przez Niemców i rozproszony pułk skupia i organizuje na nowo kapitan Ozerow, postawiając kontynuację walki i przebieg się do swoich przez front. Przed przekroczeniem Wazuzy Andrej zaważa się po raz ostatni, jak Cezar przed Rubikonem. „Rzeka Wazuza — czytamy — była granicą dzielącą na dwie części nie tylko świat, lecz zarazem życie Andrzeja”.

Andrej granicę tę przekroczył. Rozstajemy się z nim jako pełnowartościowym żołnierzem, o niezłomnym charakterze. Nauczył się nie tylko walczyć, ale i zwyciężać. Edukacja skończona. Teraz może przysięść Stalingrad.

Czy jednak taka konstrukcja losu Andrzeja nie jest przypadkowa, czy autor nie nadużył praw swej wyobraźni? Czy w tych warunkach z równym prawdopodobieństwem nie mógł się Andrej załamać? Należy odpowiedzieć stanowczo: nie! Ten łagodny chłopiec jest przecież dzieckiem nowego, radzieckiego ustroju, wychowanym w warunkach socjalistycznych.

One ukształtowały jego charakter. Andrej „nie mógł” inaczej postąpić bez narażania autora na konflikt z abecadami realizmu socjalistycznego. Rzeczywistość nie potwierdziłaby innego rozwiązania problemu.

— „W naszych ludziach — mówi generał Borodin do Ozerowa — za rządów radzieckich wyrobiły się nowe cechy: niezwykła wierność sprawie swego kraju, poczucie odpowiedzialności za losy świata”.

Do wspaniałych charakterów powieści należy w pierwszym rzędzie sugestywna postać kapitana Ozerowa, reprezentanta zespołu najpiękniejszych cech oficera radzieckiego. On jest duszą pułku. On podtrzymuje animusz bojowy żołnierzy własnym przykładem męstwa. Doskonale jest scena zebrania partyjnego komunistów, odbytego na deszczu i... bez protokołu, co tak oburzyło instruktora komórki partyjnej pedantycznego Woźniakowa. Autor podkreśla rolę komunistów jako elementu najbardziej zdyscyplinowanego, wytrwałego i uświadomionego oraz ich wpływ na życie całego pułku.

Bubiennow stworzył również niezmiernie żywą plejadę postaci drugoplanowych, jak resolutny ordynans Łozniow, Kosta, komiśnik Umrichin, czy wzruszający komisarz Jachno. Wstrząsającym epizodem jest śmierć Diegitiarowa.

Na tle tych „prawdziwych ludzi” radzieckich tym ostrzej wypadły typy ujemne. Te same wydarzenia, które hartowały Andrzeja, wpłynęły demoralizująco na takie postaci, jak dezertery Łozniow i Jarcew lub dezertier w spe Olejnik. Jako klucz do rozszyfrowania tych ludzi podaje nam autor analizę ich przeszłości. Ołóż okazuje się, że zdrajcami i tchórzami są ludzie, którzy utracili związek ze społeczeństwem, ludzie nie związani z klasą robotniczą i socjalistycznym budownictwem, ludzie, którzy trzymali się na uboczu procesów zachodzących w Związku Radzieckim, lub wręcz się im przeciwstawiali.

Olejnik to przestępca i zaprzysiężony wróg ustroju, tym niebezpieczniejszy, że dzięki swej przebiegłości i wyrachowaniu pozostaje niedemaskowany.

Jarcew siedział przed wojną w więzieniu za spekulację.

Łozniow to znów typ inteligenta o „beznadziejnie zapłatanym życiu”. Rozpieszczony i zepsuty jednak, równie ambity co nieudolny, wieczny malkontent, przez całe życie chwycił się „tymczasowych”, zawodów, oczekując aż samo życie wyniesie go na należne mu miejsce i zaspokoi jego egoistyczne ambicje. „W kraju dokonywano gigantycznych dzieł, a on był zdala od tego: cały naród pracował wytrwale i zgodnie, a on niepostrzeżenie wyłączył się z kręgu wspólnych dążeń. Przyszedł czas, kiedy zrozumiał, że nie wybił się już nigdy i nigdy nie zostanie wielkim człowiekiem. Lecz ambicja nie pozwalała mu uznać tylko siebie za winnego tych niepowodzeń. Stworzył więc sobie naprędce teorię, że człowiekowi o wyjątkowych zdolnościach trudno jest wybić się w kraju, gdzie panuje jedna idea i wola zbiorowości”.

Ten niedoszły wielki człowiek w czasie bitwy szaleje ze strachu i przy pierwszej wygodnej sposobności dezertuje. Uwolniony z niewoli niemieckiej przez Marijkę nie skorzysta z ostatniej szansy, jaką jest wstąpienie do partyzantki mimo dobrego przykładu własnego ordynansa Kostii. Odtąd musi ponieść konsekwencje swego kroku i zapłacić za zdradę. Staje się łupem Jerofieja Kuźmicha, który za pomocą szantażu zmusza go do niewolniczych prac przy pedzeniu bimbrow. Wkrótce Łozniow osiąga dno upadku. Zostaje policjantem niemieckim i bierze udział w wymuszaniu kontrybucji od ludności.

Wola oporu i walki aż do zwycięstwa stęzła nie tylko w żołnierzach, lecz także wśród ludności pozostającej w Olchowce. Kończąc wytrzymuje próbę spójności wewnętrznej. Próby rozbicia go nie powiodły się. W okolicy organizuje się oddział partyzancki. Stamtąd przewodniczący kolchozu Stiepan Bojarkin kieruje dalej zwycięską kolektywą. Pierwszym zabójcą przeciwnika Niemcom staje się podpalenie stogów zboża. Sobotka zwraca uwagę Niemców. Postanawiają wziąć się do Olchówki. Ich pierwszy „akt urzędowy” to — mianowanie „sołtysa” Jerofieja Kuźmicha Łopuchowa. Znowu dotykamy zagadnienia konstrukcji losu.

Charakteryzując Jerofieja Kuźmicha, Kostia porówna go bardzo plastycznie do osła.

„Znacie osła, co rośnie na polach? Kiedy się dobrze pole zaorze i wybronuje, to tych osłów nie widać. Ale niech tylko pole zostawi się bez doglądu — zaraz pójść! I skąd się w nich bierze tyle siły? Pełzną po ziemi, rozrastają się, wszystko duszą!”

*) Michał Bubiennow: „Biała Brzoza”. 1949. „Czytelnik”. (Dokończenie na str. 6)

MARCIN WIELGUS

„MIĘDZYNARODÓWKA ZDRAJCÓW”

Na światowym froncie walki o pokój szczególnie poważne zadanie stoi przed zwolennikami pokoju w krajach opartych przez imperializm amerykański.

Zadania te sprecyzował ostatnio Maurice Thorez na XII Kongresie Komunistycznej Partii Francji, mówiąc między innymi: „Najbardziej palące zadanie polega na tym, by przekształcić wszędzie dążenie do pokoju w walkę o pokój. W tym celu musimy najpierw wyjaśnić wciąż wszystkim, kogo oszukuje wróg przy pomocy kłamstw i oszczerstw, na czym polegają głębokie przyczyny niebezpieczeństwa wojny, związane z systemem kapitalistycznym. Musimy udzielać odprawy kampanii oszczerstwa, dywersji i prowokacji, organizować bojkot filmowy, gazet, audycji radiowych, ugrupowań i poszczególnych jednostek, uprawiających propagandę wojenną”.

Jednym z przykładów tej akcji jest głośna we Francji książka znanego publicysty Renaud de Jouvénela pt. „Międzynarodówka Zdrajców”.

Książka Jouvénela zwraca się przede wszystkim do czytelnika za „dolarową” kurtyną, czytelnika uginającego się nieraz pod ciężarem antypokojujowej propagandy oszczerstw prowadzącej przez „zmarzłizowaną” prasę, literaturę, radio, sztukę i film.

Pierwszym jej zadaniem jest więc odkłamanie atmosfery, w jaką imperializm pogrążył naród francuski — zdemaskowanie wielkiego spisku przeciwko pokojowi, odkrycie kulisów machinacji imperialistycznych w poszczególnych państwach europejskich a zwłaszcza w demokracjach ludowych.

Czy książka Jouvénela spełnia to zadanie? Tak świadczy o tym nie tylko jej popularność we Francji — lecz również ten „drobny” fakt, że zarówno autor jak i znanego krytyka francuskiego André Wurmsera, który zaopatrzył książkę w świetną przedmowę, pociągnięto do odpowiedzialności karnej za „zniesławienie”. (Tak wygląda w praktyce wolność prasy na Zachodzie). Widocznie ciós wymierzony propagandzie imperialistycznej i podżegaczom do wojny był szczególnie celny.

*) Renaud de Jouvénel „Internationale des traîtres” Paris 1949 La Bibliothèque Française.

Książka Jouvénela jest z wielu względów interesująca i dla czytelnika z krajów demokracji ludowej. Czytelnik nasz znajdzie w niej bodaj po raz pierwszy tak pieczołowicie opracowane kolekcje zdrajców i wnikliwie nakreślony schemat spisków.

Pokazując formy i maski spisku imperialistycznego na niepodległość krajów wyswobodzonych z niewoli kapitalizmu, Jouvénel zarazem przypomina, że obciążeni dopiero macki polpa zdrady, lecz sam polip żyje nadal. Imperializm zachodni pokonany na jednych pozycjach atakuje drugie, nie rezygnuje z walki — zmienia tylko metody, że spisek przeciwko pokojowi i demokracji trwa.

Pokazanie tej jednoci spisku i międzynarodowej organizacji zdrady jest główną zaletą książki Jouvénela.

W dziejach tego spisku już dziś wyodrębnić można dwie fazy w zależności od form walki.

W pierwszym okresie następującym bezpośrednio po wojnie, atak miał wszelkie cechy kontrrewolucji (zbyt łagodnie nazywanej „reakcją”), prowadzony był otwarcie, lub zwa wzięła ale zawsze z bronią w ręku, przygotowywał grunt dla „interwencji” anglosaskiej.

Ten właśnie okres jest tematem książki Jouvénela. W okresie drugim — reakcja rozbita w otwartym starciu przybiera nowe formy walki. Stara się przeniknąć do partii robotniczych, rozsądzić je od wewnątrz, sprowadzić z drogi marksizmu-leninizmu. Charakterystycznymi cechami tej formy walki jest podstępność, skrytość, dywersyjność. Bolesław Bierut na listopadowym plenum KC PZPR określił ją jako „nową, na wielką skalę zakrojoną dywersję w obozie antyimperialistycznym, opierającą się na agencji tytułowej”. Tito, Kostow, Rajk a u nas Lechowicz i Dubiel oraz sprawa odchyleńa prawicowora, który zaopatrzył książkę w świetną przedmowę, pociągnięto do odpowiedzialności karnej za „zniesławienie”. (Tak wygląda w praktyce wolność prasy na Zachodzie). Widocznie ciós wymierzony propagandzie imperialistycznej i podżegaczom do wojny był szczególnie celny.

Kim byli zdrajcy? Jouvénel pisze, że już ich przeszłość była rekwizitem ich przyszłych czynów.

Petkow był kosmopolitą, który znaczną część życia spędził za granicą zdala od ruchu politycznego. Jego udział w ruchu oporu był więc nie skromny. Cały kapitał poli-

tyczny, dzięki któremu doszedł do władzy wyniósł z bahaterskiej śmierci swego brata zamordowanego przez faszystów.

Janko Iwanow, szpieg w stroju pastora bułgarskiego już w 1939 r. pracował dla wywiadu amerykańskiego. Jego towarzyszy Ziepkow był agentem Intelligence Service od 1932 r.

Znamienne są nici łączące szpiegów — pastorów bułgarskich z wielkim kapitałem. „Za każdą radą kościelną — czytamy w zeznaniach oskarżonych — stał jakiś magnat finansowy, a więc na przykład za Radą Baptystów — Rockefeller, za metodystami — Ford. Żadnej radzie nie brak pomocy finansowej tych magnatów, ponieważ rozumieją oni dobrze i oceniają w pełni użyteczność rad ekumenicznych”.

Cóż dopiero mówić o przeszłości węgierskiego „kardynała zdrady” Mindszenty’ego, przyjacielu Mussoliniego, Salazara i Pilsudskiego, a później wielbiela Hitlera, rasisty i antysemitę? Albo o zdrajcy w wielkim stylu — Maniu?

Maniu przywódcą „chłopski” w Rumunii był akcjonariuszem kopalni złota i wiernym niegdyś stronnikiem monarchii austro-węgierskiej. W 1921 r. sprzeciwił się reformie rolnej, niebawem usunął z parlamentu posłów Bloku Robotniczo-Chłopskiego, rozwiązał związki zawodowe, w 1929 r. strzelał do górników w Lupeni, w 1937 r. zawarł pakt wyborczy z „Żelazną Gwardią”, a jeszcze w 1940 r. pisał w memorandum do Hitlera, że nikt lepiej jak on nie rozumie problemu rumuńskiego.

Dokoła takich ludzi skupiają się najgorsze elementy faszystowskie. Partie Mikołajczyka, Nagiego czy Maniu stają się od razu ostoją wszystkich sił antydemokratycznych, przykrywką działalności spiskowej. Czołowi działacze partii Nagiego — zostali skompromitowani w procesie „sztabowa zdrady” Dalnoki - Veressa, faszysty z „zasłużoną” przeszłością.

Maniu, w ramach kierowanej przez siebie partii narodowo-chłopskiej sam stworzył organizację paramilitarną zwaną „Gwardią Julii Maniu” — do której weszli byli członkowie Żelaznej Gwardii, zbrodniarze wojenni i siepacze Antonescu. W 1947 r. Maniu licząc na interwencję anglosaską zaczął z tych sa-

mych ludzi tworzyć armię podziemną.

Według tego klasycznego już wzoru bułgarski szef Unii Agrarnej G. M. Dymitrow (Gemeto) otworzył szeroko drzwi do partii faszystom i monarchistom.

Niebawem usunęła go w cień osobistość bardziej wybitna — Petkow. Po opuszczeniu Frontu Ojczyźnianego na wiosnę 1945 r. Petkow polecił zorganizowanie „Ligi Militarnej”, która, jak zeznał jej członek Hodzi Atamasow, miała na celu przygotowanie zamachu stanu.

Ścisły związek z faszystami cechował także przywódce partii socjaldemokratów bułgarskich. Na procesie w listopadzie 1948 r. sekretarz partii T. Reczew zeznał: „Lulczew mówił o konieczności dopuszczenia do partii dawnych faszystów, czego dotychczas się wystrzeżaliśmy”. Sam Lulczew, przewodniczący partii socjaldemokratycznej wyjaśnił skromnie: „myślę, że pewne elementy faszystowskie czuły, że są nam bliskie”.

Zestawiając poszczególne spiski i ich przebieg, uderza nas, że profile zdrajców i przekroje zdrady są do siebie ludzko podobne. Często zamiast wyjaśnić, kim był Nagi, wolelibyśmy powiedzieć: — węgierski Mikołajczyk.

Skąd się to podobieństwo bierze? Oczywiście zdradę zrodziły wszędzie te same siły polityczne, wyrosła na tym samym gruncie kontrrewolucji przeciwko przemianom społecznym w krajach idących po drodze demokracji ludowej do socjalizmu.

Lecz uważny obserwator dostrzeże nadto, że spiski te nie były odruchami izolowanymi, autonomicznymi i żywiołowymi. Król zdrady zdradza wypracowany co do szczegółów jeden i ten sam model! Do myśleć się nie trudno, że jest to model made in USA.

„We wszystkich nieudanych spiskach — pisze Jouvénel — w Bułgarii, na Węgrzech, w Rumunii i gdzie indziej, znajdujemy rękę „pewnego ambasadora”, „pewnego poselstwa” lub „misji zagranicznej” itd.”

Procesy odsłoniły ściśle stosunki między ambasadorami amerykańskim na Węgrzech Chapinem a Mindszentym i żywcem wymiane „informacji”, „na tematy religijne i nierele-

gijne”. Maniu posiadał nawet wła-

snego tłumacza do systematycznych rozmów z agentami zagranicy a w szczególności z Burtonem Berym, szefem misji amerykańskiej, na którego zlecenie organizował uzbójne bandy. Lecz po co sięgać daleko; pamiętamy przecież „towarzystwo” stonksu Mikołajczyka z p. p. Bliss Lane — ambasadorem Stanów Zjednoczonych i Cavendish Bentic — ambasadorem Jego Królewskiej Mości. Pamiętamy dobrze, który mistrz baletu wysłał „primadonnę jednego sezonu” — na gościnne występy — do Polski, pamiętamy kto był impresario i kto wygładza kulkę schował za kulisy.

Słedstwo wykazało, że ucieczka Mikołajczyka „została zorganizowana i zrealizowana przez wyższych funkcjonariuszy pewnej ambasady zagranicznej”.

Przeanalizowanie tej całej organizacji zdrady, tych powiązań zagranicznych, uchwycenie jednej i tej samej nici przewodniej spisków, zdemaskowanie tych samych zleceń dawców pozwala Jouvénelowi pokazać jednóść tego światowego spisku przeciwko pokojowi, niepodległości politycznej i wolności społecznej ludów europejskich.

Ta międzynarodowa organizacja spisku ujawniła się między innymi oficjalnie „na zewnątrz” w związku z uroczystą proklamacją tzw. „Zielonej Międzynarodówki”, którą pod wysokim protektorem imperialistycznym ochlebodawcy zawiązali najwybitniejsi zdrajcy z Ferencem Nagym i Mikołajczykiem na czele.

Lecz gdy przeciwnik sam pokazuje karty, to znaczy, że w tej partii spasował. To już nie na zdemaskowanych członków pierwszego sprzyśnięcia stawia dziś amerykańska centrala dywersji antypokojujowej. Karty potasowano, zmienili się ludzie i metody. Podrośli inni bardziej wykwalifikowani agenci. Agencje imperializmu na kraje demokracji ludowej objął dywersant Tito.

Lecz spotężniały także siły postępu i pokoju. Pokój i wolność na dziś swych przyjaciół wśród wszystkich ludów i tych uciskanych i tych wyzwolonych spod ucisku, które codzień, czynem dokera z Nicei i bohatera pracy ze Stalingradu udawają, że pokój i wolność potrafią ofiarnie wywalczyć.

Marcin Wielgus

ZDZISŁAW HIEROWSKI

TEMATYKA WIEJSKA W TEATRZE CZECHOSŁOWACKIM

Polak, zapoznający się z dramaturgią czeską i słowacką oraz obserwujący bieżące życie teatralne w Czechosłowacji, zwrócić musi uwagę na fakt, jak licznie w tej dziedzinie twórczości jest tam reprezentowana tematyka wiejska, jak często autorzy dramatyczni sięgają po materiał i konflikty w życie chłopów. Rys ten zauważył od razu prawem pewnego kontrastu, gdyż w naszej literaturze zarówno szlacheckiej jak i mieszczańskiej chłop rzadko urastał do rangi bohatera dramatycznego. Zdobywszy sobie mocną pozycję w powieści, pojawiał się w nielicznych zresztą utworach dramatycznych epizodycznie, a zajmując w nich miejsce pierwszoplanowe — ukazywał się w ujęciach szablonych, konwencjonalnych, bądź też naturalistycznych.

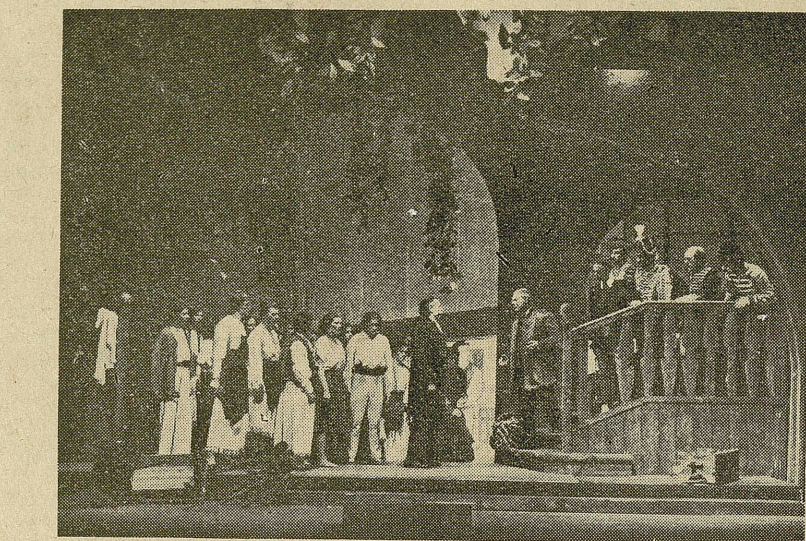
Zainteresowanie dramaturgii czeskiej i słowackiej chłopem i wsią ma swoje historyczne i polityczne przyczyny. Podczas gdy u nas teatr jako instytucja publiczna rozwijał się w drugiej połowie XVIII wieku z teatru dworskiego i jego spadku przede wszystkim odcieńczył, służąc zjeżdżającej do miast szlachcie i widzowi mieszczańskiemu przez większość wieku XIX, teatr Czechów i Słowaków wyrósł z ludowych form teatru ochotniczego i zawodowego teatru wędrownego. Ponadto teatr był w Czechach i na Słowacji jednym z motorów odrodzenia narodu, ważnym środkiem w walce o uświadomienie narodowe mas. Ponieważ odrodzenie narodowe Czechów i Słowaków dokonało się przede wszystkim dzięki obudzeniu szerokiego mas chłopskich, teatr starał się w pierwszym rzędzie trafić do tego typu widza. Tak było w dramacie słowackim i czeskim na przejściu od klasycyzmu do romantyzmu, tak było w okresie romantycznym a w epoce realizmu rola, jaką warstwa chłopska odgrywała w kształtowaniu się w sposób nowoczesny społeczeństwa, sama otwierała problemy wsi drogę do literatury dramatycznej. Chłop jako postać dramatyczna a wieś z jej problematyką jako środowisko dramatyczne otrzymały w ten sposób wcale bogatą tradycję literacką, tradycję znacznie bogatszą od naszej. Stworzyły ją w Czechach tacy pisarze sceniczni jak Klicpera, Tyl (twórca czeskiego teatru narodowego), bracia Mrštíkové, Stroupezníky, Jirásek, na Słowacji Jan Chalupka, Zaborski, Jozef Holly, Tajovský i inni. Rzecz prosta, że siła oddziaływania wpływów i konwencji literackich oraz tendencje wychowawcze sprawiły, że i przez tych pisarzy pokazany chłop nie jest wolny od szabloności i uproszczeń, ale wobec znacznie bardziej bezpośredniego stosunku tych pisarzy do ludu i silniejszych związków z nim obraz chłopu w ich komediach i dramatach jest o wiele bardziej bliski życia i prawdy niż przeciętnie u nas, to znaczy w dziełach naszych pisarzy dramatycznych.

W dalszym rozwoju dramatu zwłaszcza czeskiego rysem charakterystycznym jest, że zainteresowanie

ludzi piszących dla sceny chłopem i wsią słabnie w okresie międzywojennym, w okresie demokracji mieszczańskiej i związanych z nią ideowo prądów literackich. Słowackie zainteresowanie te kontynuowała, ale tam znów pomiędzy dwiema wojnami dramat rozwinął się znacznie słabiej.

Okres powojenny natomiast — zwłaszcza lata ostatnie — przyniósł nowy zwrot ku tej tematyce, czego rezultatem jest wiele sztuk opartych o problematykę współczesnej wsi cze-

skiej i słowackiej oraz fakt, że te utwory, które moglibyśmy określić jako „sztuki chłopskie”, nie schodzą ze scen kilkudziesięciu zawodowych teatrów czeskich i słowackich. I tu znów musimy stwierdzić kontrast w zestawieniu ze stanem tych zainteresowań literackich i teatralnych u nas. Publiczność nasza a co więcej dyrektorzy teatrów zupełnie odwykli od pokazywania na scenie chłopu potraktowanego realistycznie, poważnie i pozytywnie. Kiedy zresztą i na czym mieli się do niego przyzwyczaić? Na propozycję wprowadzenia do repertuaru sztuki o problematyce chłopskiej można usłyszeć pytanie — „A kto to będzie grał i kto będzie na to chodził?” Słowem mamy tu jeszcze dużo do zrobienia. Dlatego też warto spojrzeć, jak rzeczy te wyglądają w Czechosłowacji.



Teatr Narodowy w Bratysławie: sztuka klasycznego autora słowackiego J. Zaborskiego „Najduch”. Scena z 3 aktu.

Przed wszystkim zwraca uwagę śmiała próba organizacyjna, zmierzająca do uodupnienia wsi artystycznego teatru. Zagadnienie to rozwiązane zostało w dwójaki sposób. W pierwszym rzędzie obsługa teatralna wsi powierzona jest t. zw. teatrom okręgowym, które posiadając swoje stałe siedziby obsługują zarazem objazdami powiaty i najbliższy teren. Sieć tych teatrów jest bardzo gęsta a działalność ich cechuje niezwykła ruchliwość, możliwa dzięki operowaniu równocześnie przynaj-

wsi, dysponujących nawet najbardziej prymitywnie urządzonymi salami widowiskowymi. Dopełnieniem zespołów dramatycznych są zespoły kukiełkowe, które obliczone są na widzów najmłodszych. „Teatr dla wsi” pracuje już od jesieni roku 1945 i posiada poważny dorobek. W ciągu tych pięciu lat pracy działalność jego udoskonalała się i artystycznie, i organizacyjnie, co zaznaczyło się zwłaszcza po przewrocie lutowym w 1948 roku, gdy rząd udzielił tej instytucji znacznie wydatniejszej pomocy niż przedtem. W sumie czeskosłowacki „Teatr dla wsi” stanowi duże osiągnięcie kulturalne i jest jednym z ważnych czynników w życiu teatralnym kraju. Teatr ten operuje łatwym do realizacji w warunkach terenowych repertuarem klasycznym i współczesnym przede wszystkim rodzimym. Współpracując z nim najwybitniejsi reżyserzy teatrów praktycznych. Instytucja ta w sposób nowoczesny kontynuuje kulturalną i wychowawczą misję dawnych czeskich zespołów wędrownych, od których wziął początek w pierwszej połowie XIX w. czeski teatr narodowy.

TEATR ODBICIEM NOWEJ WSI

Teatr tak silnie związany ze wsią i związek ten z roku na rok zacieśniający potrzebuje odpowiedniego repertuaru, który trafiałby szczególnie

do zainteresowań i upodobań widza. Równocześnie i większe teatry stały, nie prowadząc nawet działalności objazdowej, pozostając wiernie dawnym tradycjom sceny czeskiej i słowackiej i zwiększając swą chłonność repertuarową do sztuki o tematyce chłopskiej. W pierwszym etapie pracy potrzeby te zaspokajano rodzimym repertuarem klasycznym w nowych opracowaniach inscenizacyjnych. Na Słowacji przeżywa swój renesans najcenniejsze sztuki chłopskie Zaborskiego, Tajovskiego i Hollego, w Czechach sztuki Tyla, Klicpery, Stroupezníkiego, Mrštíków, Jirásky. Zagadnienie nowego repertuaru wysunęło dwa problemy — nowych sztuk śpiewno-muzycznych, wykorzystujących bogaty materiał folkloru a mających równocześnie za zadanie eliminację bardzo popularnej, lecz obcej kulturze czeskiej i słowackiej operetki oraz sztuk poruszających problematykę przemian społecznych i gospodarczych, które kształtują współczesną wieś czeskosłowacką. Rozwiązanie pierwszego problemu idzie wolniej, gdyż siła rzeczy wolniej powstaje nowy repertuar, który musi wyrastać ze ścisłej współpracy specjalnego typu pisarzy i kompozytorów. Najpoważniejszym osiągnięciem na tym polu stało się znane i w Polsce widowisko słowackie Iwana Terena i K. L. Zachara „Rok na wsi”, które przy swoich brakach treściowych pokazało jednak, jak doskonały efekt artystyczny osiągnąć można umiejętnym wykorzystaniem ludowego tańca, pieśni, obrzędu i humoru. Znaczenie dalej natomiast posunął się problem drugi, gdyż ostatni rok przyniósł kilka sztuk czeskich i słowackich śmiało sięgających po nową problematykę wsi i opracowywujących konflikty, wynikające z zachodzących w jej życiu i strukturze

przemian. Sztuki te w sposób nowy odsłaniają uwarunkowanie społeczne wsi, ukazują ścieranie się na tym terenie i walce sił postępu z siłami wsteczniactwa i kapitalizmu wiejskiego, słowem dramatyzują w sposób jasny problem socjalistycznej przebudowy wsi czeskosłowackiej. Dzięki tym sztukom teatr czeskosłowacki staje się odbiciem najistotniejszych procesów zachodzących współcześnie w życiu wsi.

Nowy etap zainteresowania się teatru wsią i chłopem jako tematem dramatycznym zaczyna się niewątpliwie z rokiem 1949. W tym bowiem czasie literatura czeska i słowacka przestaje być wyraźnie kontynuacją międzywojennej literatury mieszczańskiej a dokonuje się w niej przełom w kierunku literatury realizmu socjalistycznego. Obserwujemy to zwłaszcza we wszystkich dziedzinach twórczości, ale w dramacie przemiana ta postępuje bodaj najszybciej. Teatr czeski sygnalizował ją takimi sztukami, jak „Boženka” (Mordová rolle) Miloslava Stehlika, teatr słowacki natomiast komediami „Kozie mleko” Jana Skalika i „Podpoľské buki” Stefana Kráľika. Te pierwszą grupę nowych sztuk chłopskich powiększyła wkrótce przeróbka sceniczna książki premiera Czechosłowacji Antoniego Zapotockiego „Wstana novi bojownicy”.



Teatr Narodowy w Bratysławie. Widowisko Iwana Terena i K. L. Zachara „Rok na wsi”.

ROK PRZEŁOMU

Nowy etap zainteresowania się teatru wsią i chłopem jako tematem dramatycznym zaczyna się niewątpliwie z rokiem 1949. W tym bowiem czasie literatura czeska i słowacka przestaje być wyraźnie kontynuacją międzywojennej literatury mieszczańskiej a dokonuje się w niej przełom w kierunku literatury realizmu socjalistycznego. Obserwujemy to zwłaszcza we wszystkich dziedzinach twórczości, ale w dramacie przemiana ta postępuje bodaj najszybciej. Teatr czeski sygnalizował ją takimi sztukami, jak „Boženka” (Mordová rolle) Miloslava Stehlika, teatr słowacki natomiast komediami „Kozie mleko” Jana Skalika i „Podpoľské buki” Stefana Kráľika. Te pierwszą grupę nowych sztuk chłopskich powiększyła wkrótce przeróbka sceniczna książki premiera Czechosłowacji Antoniego Zapotockiego „Wstana novi bojownicy”.

Ta ostatnia sztuka sięga najdalej w przeszłość. Tematem jej są początki ruchu socjalistycznego w środowisku robotników rolnych pod koniec XIX w. w rodzinnych stronach autora w pobliżu Pragi. W sześciu obrazach scenicznych o więcej epickim niż dramatycznym charakterze sztuka daje obraz wyzyskiwanej przez dwór, terrorizowanej przez plebejstwo, wójta i żandarma wsi oraz biernego, nie mającego odwagi myśleć nawet o jakiegokolwiek zmianie na lepsze, środowiska chłopskiego, niechętnie ustosunkowanego do „socjologów”. Motorem akcji staje się tu wysiedlony przymusowo z Pragi działacz socjalistyczny Budeczsky (pierwowzorem tej postaci jest ojciec autora), który stopniowo zdobywa zaufanie wsi, organizuje pierwsze formy skutecznej walki z wyzyskiem i uciskiem, budzi świadomość klasową wśród chłopów i przygotowuje pierwsze zwycięstwo wyborcze polachonowego proletariatu wiejskiego i miejskiego.

Książka premiera Zapotockiego ma wiele cech wspólnych ze „Starem

Następne sztuki czeskie, czerpiące temat z życia wsi, sięgają już śmiało po problematykę najbardziej aktualną.

Do najwcześniejszych należy tu komedia Karola Dworzaka „Boženka” (Przyjdzie). Nie nowy motyw antagonizmu dwóch wsi autor opracował w sposób świeży przez wprowadzenie współzawodnictwa pracy pomiędzy młodzieżą chłopską jednej wsi a młodzieżą robotniczą pracującą w fabrykach tekstylnych skupionych w drugiej wsi. Pionierska praca oparta na socjalistycznych zasadach usuwa w

ciężkie i nierówne konflikty, które zacierają się w końcu również pomiędzy przedstawicielami starszego pokolenia. Z tym głównym nurtem akcji, której najważniejszymi postaciami są emerytowany majster fabryczny Souček i młody betoniarz Wania, łączą się i przepleta zabawnie nawiązany wątek miłosny, snujący się wokół wnućki Součeka Anki i jej trzech konkurentów. Przeprowadzenie tego drugiego motywu o parł autor jednak na zbyt wątlwym i trochę sztucznie podtrzymywanym przez szereg obrazów sztuki nieporozumieniu z „Boženką”. Komedia ta posiada sporo humoru, doskonały i dowcipny dialog, szereg interesujących i zabawnych postaci. Autor nie zapanował jednak całkowicie nad materiałem, który chciał zużytkować, nie uniknął zahamowań akcji i nie utrzymał komediowego tempa i dowcipu do końca.

Dużym krokiem naprzód komedii chłopskiej jest nagrodzona jesienią ub. roku w specjalnym konkursie artystycznym sztuka Jaroslava Zrotala „Kura i kościelny”. Tematem jej jest życie wsi na morawskiej Słowaczynie w okresie decydującej walki o spółdzielcze metody gospodarowania. Mimo zbyt długiej ekspozycji w akcie pierwszym i statycznej akcji czwartego komedia jest żywa, barwna a przede wszystkim pomyslowa, dowcipna i bardzo aktualna. Czołowe jej postacie dają znakomite pole do kreacji aktorskich, ale postacie drugoplanowe kreślone są już dość schematycznie. Całość posiada dużo cech dobrej, interesującej i zabawnej komedii, która nie przechodzi w dydaktykę i slogany, co można rzec na przykład o końcowym obrazie komedii Dworzaka „Boženka” (Przyjdzie).

Na gruncie czeskim ostatnią godną uwagi sztuką chłopską jest wystawiona przez teatr E. F. Buriana sztuka „Przypad Modré Vody” (Sprawa Modrej Wody), którą napisał Alexej Pludek. Autor ten posuwa swój problem dalej niż czyni to w swojej komedii Zrotala. Wprowadza do sztuki spółdzielnię rolniczą już zorganizowaną, która na skutek niedołężności kierownictwa stoi w obliczu klęski, co nie tylko podkopałoby zaufanie chłopów do tej formy gospodarowania, ale i podporządkowałoby z powrotem biedniejszym rolnikom najwęższemu bogaczowi we wsi, który zmierzchniał i zracjonalizował swoje gospodarstwo i uależniał się od siebie przez pożyczanie im maszyn. Spółdzielnię ratują od katastrofy robotnicy z pobliskiego miasta, których delegat mobilizuje wszystkie siły we wsi, zwłaszcza zaś młodzież, przeprowadza sprawnie akcje

siewną i utrwała w ten sposób egzystencję spółdzielni. Również i ta sztuka zdobyła sobie uznanie umiędowym przeprowadzeniem problemu, jego dramatycznym rozwinięciem oraz charakterystyką postaci.

Nie mniej licznie reprezentowana jest tematyka chłopska w najnowszej dramaturgii słowackiej, która ostatnio zakończyła okres wyłączności niemal zainteresowań tematyką okupacyjną a zwłaszcza tematem powstania narodowego 1944 roku, a zwróciła się do zagadnień najbardziej aktualnych. Wobec nikłego uprzedmiotowienia Słowacji (dopiero obecnie dokonuje się tam wielkiego dzieła przebudowy struktury gospodarczej tej połaci kraju) przemiany zachodzące w życiu wsi należą tam do zagadnień najbardziej palących.

Największe uznanie zdobyły sobie dotychczas dwie komedie chłopskie, wystawione pod koniec 1949 roku: Jana Skalika „Kozie mleko” i Stefana Kráľika „Podpoľské buki”. Obydwie cieszą się w teatrach słowackich dużym powodzeniem, a komedia Skalika przeszła już na jedną ze scen Pragi.

W „Kozim mleku” ukazuje autor w komediowym ujęciu klasę bogatą wiejską, która za wszelką cenę chce obejść ustawy i ma nadzieję utrzymać swoją pozycję we wsi mimo tego, że biedota i średniacy organizują się w spółdzielnię. W zaślepieniu i zaciętości wyprowadza dobytek, by nie być zmuszonym do oddawania kontyngentów a podpiwszy sobie po tych transakcjach daje się namówić sprytnemu urzędnikowi gminy do kupna kozy, co ośmiesza go przed całą wsią i rozbija wszystkie jego plany. Małżeństwo córki z synem bogatego gospodarza nie dochodzi do skutku, opuszcza go parobek, który idzie do pracy na stację obsługi traktorów, wreszcie jedyna córka i dziewczka majątku porzuca dom, by połączyć się z biednym chłopcem, jednym z najaktywniejszych działaczy politycznych we wsi. Całość kończy się nieoczekiwanie dość sielankowo, gdyż bogacz godzi się ze swoim losem i zgłasza chęć przystąpienia na równych prawach do spółdzielni. Akcja zamknięta w trzech aktach toczy się żywo, obfituje w dobre sytuacje i dialogi, a z grupy pełnych życia i plastyki postaci wyróżnia się postać wesolego, zawiadającego parobka Józka. Całości szkodzi zakończenie z owym sielankowym rozwiązaniem konfliktu, które w dodatku autor ujął w formie folklorystycznego widowiska ludowego ze sceną „szkubaczek”.

Typowy dla Słowacji problem (aktualny także i na naszej wsi) wybrał sobie jeden z najbardziej utalentowanych dramaturgów słowackich Stefan Kráľik. Jest to problem przechodzenia młodzieży wiejskiej do środowisk przemysłowych. Dla zilustrowania go autor obrał sobie w komedii „Podpoľské buki” teren górskiej wsi w okolicach Zvolen. Jest to wieś szczególnie biedna a gospodarstwo zacofane, gdzie rozrzucone po „gronach” zagrody małorolnych żyją w grupowej zależności od bogaczy wiejskich, którzy wykorzystują wszystkie świadczenia na ich rzecz do organizowania bezwzględnie systemu „odrabiania”, przez co „zobowiązują” stałą, taną i całkowicie od nich zależną siłę roboczą. Autor problem ten umieścił i przeprowadził w granicach trzech rodzin. Jeden z synów wyzyskiwanego małorolnego chłopca organizuje odpływ młodych do pobliskich wielkich zakładów przeróbki drewna, pociągając za sobą również wychowawcę bogacza, który zostaje na swym wielkim gospodarstwie zupełnie bez rąk do pracy. Równocześnie odejście młodych zmusza skłóconych od lat o kawałek gruntu ojców do pogodzenia się i wzajemnej pomocy. Jedną parą młodych pozostaje w fabryce, druga natomiast powraca na wieś, by pracować nad jej podniesieniem i wprowadzeniem spółdzielczych metod gospodarowania. Dużą zaletą komedii jest jej oryginalny temat, doskonałe zarysowanie typu zarówno młodych jak i starych oraz dobrze przeprowadzona, nie narzucająca się siłą myśl przewodnia sztuki.

*

Ten informacyjny przegląd nie uwzględnił wszystkich najnowszych sztuk czeskich i słowackich poświęconych tematyce wsi. Uwzględnił tylko pozycje najciekawsze. Zadaniem jego było pokazanie, jak dramaturgia czeska i słowacka w pierwszym etapie swej drogi do realizmu socjalistycznego wszechstronnie interesuje się problematyką przemian zachodzących na wsi. Już ta informacja pozwala nam zorientować się, jak poważnie spóźniają się na tym odcinku pracy nasi autorzy dramatyczni. Nie chce, rzecz prosta, sugerować, że wszystkie omówione powyżej sztuki to dzieła skończone doskonale pod względem artystycznym. Świeży i obfity materiał twórczy zbyt opornie jeszcze poddaje się rygorom budowy dramatycznej, rozsadza sztuki w wiele obrazów lub w konstrukcje pięciokłowe, w których łatwo o sceny statyczne i niepotrzebne. Ale dotychczasowy dorobek pisarzy dramatycznych czeskich i słowackich pozwala przypuszczać, że po tym pierwszym etapie zmagań z nową, trudną tematyką szybciej niż nasi pisarze osiągną oni rezultaty trwalsze i wartościowsze artystycznie. Okresu prób i doświadczeń uniknąć się nie da. Pisarze czeskosłowaccy wesną weń już na dobre.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

PRÓBA CHARAKTERÓW

(dokończenie ze str. 5)

Jerofiej Kuźmicz, to typ jakby żywym wyjęty z powieści Bazacza. Tu na te społeczeństwa socjalistycznego jego „normalne” w starym świecie bazaczowskiej „cnoty” egoizmu, sknerswa i żączy bogacenia się za wszelką cenę, czynią go postacią równie charakterystyczną jak odcynającą. Jest to już tylko zażytek przeszłości na wsi radzieckiej, niemniej potwierdzający tęzę o żywiołowym odradzaniu się niedobrych nory kapitalizmu, o tym, że „drobna produkcja stała, co dzień, co godzina żywiołowa i w skali masowej rozi kapitalizm i burżuazję”.

Jerofiej Kuźmicz nie wyzwolił się spod uroku magii kapitalizmu, w który popadł w młodości, służąc jako parobek u bogacza wiejskiego, wielkiego wyzyskiwacza i skąpca i podparując z podziwem jego metody bogacenia się. Jerofiej Kuźmicz łuszył się wiedzy, że znalazł klucz otwierający drzwi do bogactwa. Uwierzył w możliwość awansu społecznego w warunkach kapitalistycznych i przemycenia się do klasy bogaczy. Tej wiary nie potrafił rozwiać niefortunne dzieje jego własnej gospodarki.

Jerofiej Kuźmicz w ujęciu Bubiennowa należy do tych „skończonych” charakterów, których zachowanie w danej sytuacji można przewidzieć. Dlatego nie miała grać dla czytelnika jest przesłanie jego postępowania w kolejnych układach stosunków faktycznych. Na przykładzie Jerofieja udało się Bubiennowowi pokazać nieubłagany łańcuch konsekwencji, spłot przyczyn i skutków pociągający za sobą człowieka, który gdzieś kiedyś miał nieszczeście „przdepnąć nogę losowi”.

Bezpóśrednio po ustąpieniu władzy radzieckiej Jerofiej domaga się podziału ziemi i zboża kolchozowego. Następne etapy „jazdy w dół” to założenie przedsiębiorstwa — pedzenia bimbru, szantaż na Łozniewcu. Solitysem nieciekłym zostaje mianowany poczynnie przez przypadek, przez nieszcześliwy los. Jerofiej Kuźmicz udaremnia bowiem (zresztą bynajmniej nie z miłości do Niemców, lecz po prostu z lęku o własną skórę) za-

mach umysłowo chorego Jaszy na okupantów. Czyn ten, spostrzeżony przez Niemców, został mu poczytany jako przejaw lojalności i... Niemcy nie omylili się. Wybór był trafny. Jerofiej Kuźmicz będzie lojalny. Z oportunizmu, z chłorliwego egoizmu, z żądy bogacenia się. Kuźmicz nie jest człowiekiem z gruntu złym. Jest „tylko” człowiekiem interesu na miarę drobniomieszczańską, nie pozbawionym zresztą szlachetnych odruchów, zwłaszcza gdy go nie nie kosztują. Przede wszystkim zaś jest zbyt przebiegły i wyrachowany, by nie dbać o pozory. Nie zdradzi nawet Osipa Michajłowicza, który wydał nakaz spalenia stert. Kiedy zaś będzie rekwirował dla Niemców zboże, najpierw uprzedzi ludzi, by mogli je pochwycić. Jakże prawdziwy jest ten Jerofiej Kuźmicz w każdym poruszeniu! W warunkach normalnych żyłby może mniej więcej po ludzku. Ale nie poddał już wymaganiom wojny.

Zawartości treściowej powieści odpowiada ściśle nawet opisy przyrody. Autor utrzymał tu klasyczną niemal jednostkę tonu. Akcja toczy się na tle złotej, rosyjskiej jesieni, przetykanej białym motywem brzozy.

Przyroda w powieści Bubiennowa jest z akcją powieści złączona funkcjonalnie. Opisy natury nie mają charakteru popisowych dygresji, mających wyrazić „głębokie odczuwanie przez autora piękna natury”, na marginesie i na przekór akcji — tych sztucznych wstawek, które potrafiła rozsądzić najlepsza powieść, choćby nawet były takimi arcydziełkami „samymi w sobie” jak u Żeromskiego. Co więcej, przyroda w „Białej Brzozie” nie jest nawet motywem wyłącznie zdobniczym. Opisy natury są zharmonizowane wewnętrznie z przeżyciami postaci powieściowych. Wystrzają je i czynią wyrazistymi. Niekiedy stają się wprost rodzajem komentarza autorskiego do stanów psychicznych postaci, służą do uwnętrznienia ich przeżyć. To znów autor patrzy na przyrodę pod kątem jej przydatności jako osłona dla wojska i jako czynnik strategiczny w czasie walki

Krańcowym wyrazem tej funkcji staje się uprawiana gązienie-gdzie przez autora symbolika. Ocalała po bitwie brosza staje się symbolem zwycięstwa i przetrwania. A także jakby własnym symbolem Andreja. Zabłąkany żuraw — to znów dla Kostii symbol osamotnienia. Zając pojawiający się w okopach Olejnika i mysz, obserwowana przez Łozniewoja — to wszystko symbole ich własnych stanów psychicznych.

Często przyroda ukazuje się w książce w kształtach artystycznych, wyznaczonych przez aktualne wypadki. Jest to sposób przedstawiania niezmienne sugestywny. „Dwa krzepkie wiązki wyniosły na rękach na skraj lasu ciężko rannych, młodzieńców dąb”.

Metafora w tym opisie nie jest przypadkowa, lecz zbudowana z elementów wprost wyjętych z akcji. Tak patrzy żołnierz, który niedawno brał udział w bitwie.

Bubiennow należy do tych młodych pisarzy radzieckich, którzy tworząc rzeczy świeże i oryginalne, chętnie czerpią ze skarbcza klasycznych środków ekspresji. Biorą z przeszłości to, co jest najlepsze i co im najbardziej odpowiada.

Czytelnicy radzieccy domagają się podobno od autora „Białej Brzozy” kontynuowania powieści (byłe zachwał od emierci Andreja i Marijki). Byłoby to jednak trudne zadanie. Autor rozwiązał już podstawowe problemy i rozładował konflikty. Przeprowadził Andreja przez Rubikon, innym postaciom wyznaczył przekonywujący los. Przede wszystkim zaś dał już zamknięty obraz zwycięskiego odwrotu i potrafił literacko przekonać nas o głębokiej prawdziwości słów własnego bohatera, Borodina. „Uważa się za normalne, że w ciężkich warunkach odwrotu masy żołnierskie łatwo ulegają demoralizacji, która zmienia wojsko w dzikie stado. Myśmy natomiast doświadczili coś wręcz odwrotnego. Nigdy nasi ludzie nie ujawnili tak wspaniałych charakterów, jak w owe dni, dokonując czynów bohaterstkich w imię miłości ojczyzny!”

Czyż to nie wystarcza?

Edmund Niziurski

JERZY K. MACIEJEWSKI

KINO W SPÓŁDZIELCZEJ WSI

350 km od Warszawy zawiąził nas autobusem „Film Polski” na uruchomienie w dn. 2.IV. jednego z 28 kin wiejskich w woj. poznańskim, w Bojadle, pow. Zielona Góra. Kraj obraz był monotonny, więc w drodze wertowałem swoje notatki: co o obyczajowych kinach, jedynych, docierających dotychczas na wieś, mówią jej mieszkańcy?

Mieczysław Kowalski z Godzianowa, pow. Skierniewice:

„Trudno jest człowiekowi nie-wprawionemu w czytanie przeczytać książkę i ją zrozumieć, gdy natomiast ujrzy ją na ekranie, przedstawioną obrazowo, wtedy treść bardzo łatwo utkwii mu w pamięci. Mieszkańcy Godzianowa przyjeżdżali się do kina i trudno teraz jest żyć bez niego”.

Józef Obartuch z Greboszowa, pow. Dąbrowa Tarnowska:

„Film jest dla mieszkańców wsi jedną rozrywką kulturalną. Nie tylko miła, lecz i pożyteczna, posiada bowiem cechy wychowawcze, którymi z ekranu promieniuje na publiczność wiejską”.

W swym biuletynie Film Polski informuję, że obecnie mamy 200 kin obyczajowych. W ciągu r. 1950 przybędzie 600 kin wiejskich i 200 w tzw. sieci społecznej. Ponieważ mamy obecnie ok. 600 kin miejskich, przeto w r. 1951 kina się podwoją.

Ale czy kino obyczajowe zawsze dotychczas spełniało swoje zadania?

F. P. z Wiazownicy Dużej, pow. Sandomierz, pisze:

„Nie mamy świetlicy, światła, ani jednego radiodiodniarza, to czyż nie mamy mieć od czasu do czasu kina? A lud pragnie widzieć tę odbudowę i przebudowę kraju nie tylko na papierze, ale chętnie ujrzy to przez kino, przez światło, przez radio”.

Wtórnie mu Jan Baszczyk z Przydroża, pow. Głogów:

„Nie mamy możliwości widzieć filmu, co uważamy dla siebie za dużą krzywdę kulturalną. Chcemy widzieć filmy takie, żeby nam przyniosły wiadomości naukowe, aby nam pomogły zwalczać zacięcie, bo nasze zastępy tego nigdy całkowicie nie gastały. Pragniemy widzieć filmy o przejawach życia społecznego, o osiągnięciach w odbudowie kraju”.

Po tych życzeniach znów zażalenie ze strony Wład. Kroczyka, w. Przyszowa, pow. Limanowa:

„Dn. 5.5 przyklejono obwieszczenie, że 11.5 przyjdzie kino obyczajowe i będzie wyświetlać film „Rudzielec”. W oznaczeniu dnia już od wczesnych godzin południowych zebrała się ludność, kino — niestety nie przyjechało.

Dn. 22.6 pojawiło się nowe obwieszczenie: „kino przyjeżdża 24.6 z filmem „Przełęcz szturm”. Przyjechało, lecz ludności było mało, bo chcieli się z nowym zawodem.

Dn. 5.8 mieli przyjechać z filmem „Słońce wschodzi”. Ludzie się zeszli, jak jeszcze nigdy, czekali do godz. 11, lecz kino nie przybyło. Piszęmy to z żalem prosić, by nas więcej nie zwodziły. Czekamy na krenki filmowe, sportowe i filmy produkcyjne polskiej”.

W roku 1950 przybędzie zatem 600 kina na wsi, co będzie pierwszym zaspokojeniem „kinowego głodu”, w planie zaś 6-letnim projektuje się, by w każdej gminie było kino, czyli że osiągniemy w końcu r. 1955 liczbę ok. 3500 kin wiejskich.

Co zadecydowało o tym, że w liczbie tych 28 kin województwa znalazło się właśnie Bojadło, wybrane na ośrodek uroczystości centralnej w obecności dwóch ministrów, przedstawicieli partii i wycieczki prasowej z Warszawy i Poznania? Droga eliminacji. Poza tym Bojadło miało za sobą ogromny plus: 18 marca założono tam spółdzielnię produkcyjną II typu. Bojadło poza tym ma elektryczność — czynnik niezbędny przy istnieniu stałego kina, wreszcie Uniwersytet Ludowy, mieszczący się w starym pałacu, wystawionym przez Davida Heinricha Freyhera von Kottwitz...

Bojadło, wieś to ludna i rozległa. Trzeba było wiele zapu Kola Gospodni Wiejskich, S. P. i członków Ochotniczej Straży Pożarnej, by na wieś o wytypowaniu wsi na uroczyste otwarcie kina, w ciągu paru dni uprzątnąć 24 ulice, by starożytni zdolali w porę zrobić wygodne ławy do kina, by kobiety urządziły salę, by przyozdobiono budynek zielenią i transparentami.

Przed wejściem do kina łapię na chybił-trafił jakiegoś uśmiechniętego mężczyznę: Jak to było z tym urządzeniem kina? Jaki wpływ wywrze ono na życie wsi?

Mężczyzna okazuje się przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej, Adamem Konecznym. Mówi:

— To kino było do pewnego stopnia nagrodą. Bojadło stoi w powiecie na I miejscu w płatności podatku gruntowego i FOR. To dla nas wielka zdobycz, gdyż odcięci jesteśmy odległością 50 km od miasta powiatowego Zielonogóry. Ale oto i wójt. On was poinformuje najlepiej — i Koneczny, rad z siebie, zniknął z pola widzenia w gęstym tłumie, pulsującym przy wejściu do kina. Uroczystość już się zaczęła i strażnicy mieli niemały kłopot z utrzymaniem jakiegoś takiego porządku.

Mówił minister Kultury i Sztuki Dybowski: „Rozpoczynamy ofensywę kulturalną i przez udostępnienie kina masom chłopskim. Kto by zaryzykował dawniej otwarcie kina na ubogiej wsi, gdzie zapalcie dzielono na czworo? Film niezawodnie spotęguje w masach chłopskich pragnienie wiedzy i piękna...”

Czy wypowiedź ta nie pokrywa się z listami chłopów?

Potem głos zabrał wicemin. Tka-czow: „Kino na wsi polskiej to większa świadomość, większe przywiązanie do władzy ludowej, większa świadomość oczekujących nas zadań...”

Rozmowa z wójtem, Karolem Peniukiem, zrazu nie wzięła się. Jako gospodarz zbyt był zaferowany wszystkim, co się działo, liczącymi gośćmi, potem jednak, kiedy drzwi kina zamknęły się, odsapnął. I nie-mał z miejsca wyniósł powiązanie dwóch niezwykle ważnych spraw: kinofikacji wsi i spółdzielczości produkcyjnej. O obu sprawach wójt mówił, choć widać było, że ta druga zaprzęta go bardziej. Tam bowiem była rozrywka, tu zaś sta-wała się rzecz niezwykle ważna, przekształcająca z gruntu dotych-czasowy byt wsi polskiej.

Więc zaczęło się od tego, że wójt pochwalił się, iż ludność „droga szarwarku społecznego” rozbiera gruz i dochód ze sprzedanej na odbudowę Warszawy cegły przeznacza na wyposażenie sali kinowej. Mysł urzędzenia kina we wsi powstała już dawno, w r. 1945. Nie było jednak ani środków na to, ani kre-dytów. Dopiero teraz otrzymali a-paraturę, produkowaną w Łodzi AP 11 i dopiero teraz przeszkolili na 4-tygodniowym kursie w Poznaniu obsługę... Oto ona:

Dwaj ludzie w granatowych kom-binezonach, spoceni, schodzą z gó-ry, by odetchnąć na chwilę świe-żym powietrzem. Są to osadnik, był-y żołnierz z I Armii, kinooperator Rafał Rogowski i kierownik, kas-jer, kontroler w jednej osobie — Jan Tyrakowski.

Jeden z nich, „gospodarz” na-dziać 1-hektarowej, jest palacem centralnego ogrzewania w szkole podstawowej, drugi, taki sam bo-gacz, pracuje w Zarządzie Gminy jako wójt. Praca przy kinie bode-dzie dla nich ubocznym źródłem do-chodu, a zarazem obniży koszty eks-ploatacyjne kina. Skok od obsługi C. O. do obsługi precyzyjnego aparatu kinowego jest wielki. Bądź co-bądź — jak powiada Rogowski — wykładana była na kursach elektry-ki, optyki... Mamy jednak wszelkie dane ku temu, by stać się „narodem mechaników”. A kinomechanik musi posiadać zacięcie działacza kultural-nego, niekiedy zaś nawet doświad-czenie pedagoga. Bo też plan „Fil-mu Polskiego” przewiduje wyświet-lanie dużej ilości filmów dokumen-talnych i oświatowych na temat za-gadnień, interesujących wieś, jak np. „Ratujcie nasze zdrowie”, „Wal-czymy z pożarami”, „Melioracja i osuszanie terenów”, „Pszensica he-bryda” itd.

Są to jednak, moim zdaniem, ra-czej dodatki do filmów fabularnych, bo chłop nie tylko chce się uczyć, poznawać nowe. Chce przede wszyst-kim po tyłu, tyłu latach zaniebada-nia mieć wreszcie taką samą roz-rywkę kulturalną, jak człowiek z miasta!

Mała Leokadia Kastkówna zapo-wiada nawet, że przestanie kupo-wać cukierki, by mieć pieniądze na pójście do kina. Dwunastoletni Re-migiusz Klementowicz najbardziej lubi filmy wojenne.

— Dla nas, starych — powiada jeden z chłopów, który nie chce, by jego nazwisko było w gazecie — kino nie jest już takie ważne, my już na schyłku, ale dla młodych to oświata i rozrywka. Podobna mi się najbardziej taki film, jak dzisiaj: „Czarcie źle”, bo to takie rozpry-wające... Widziałem „Ostatni etap”. On nie pokazuje jeszcze wszystkiego. Ja sam byłem w obozie, to wiem najlepiej.

Wacław Kotwicki z Ponik, zwa-nych także Pyrnkami, wraz ze swą żoną nie wyglądają na zabiedzonych. Przyjechali na uroczystości w pa-re kni i teraz czekają na zjawienie się trójki swoich pociech. Kotwicka niecierpliwi się: — Trzeba do dom-jechać. Wszyscy z domu — uspra-wiedliwia się — a piec komu?

Program kin wiejskich przewidu-je wyświetlanie większości filmów, które widzimy również w mieście. Z jednym zastrzeżeniem: powinny to być filmy mówione po polsku, na pisy bowiem odrywają uwagę i wy-magają dużej sprawności w czyta-niu.

Stoimy z wójtem i paroma in-nyimi po środku wiejskiej ulicy. Dmie zimny wiatr, niesie tumany pyłu. Wójt to nie przejmie. Przy-zwyczajony — jak powiada — w-tej marynarczynie nawet na 25-stop-niowym mrozie. Nie czuje zimna, o-powiada bowiem o narodzinach spół-dzielni:

— Należy do niej 29 gospodarzy spośród 104 we wsi. Uczestnicy spółdzielni — to średnioludni, bo innych zresztą po regulacji grun-tów tu nie ma. Mają w tej spół-dzielni 207 ha, 29 koni, 12 krów. Praca wspólna już idzie na dział-kach zapasowych. Zasiano około 30 ha owca i pszenicy. Uczestnicy spółdzielni postawili za warunek, że

nam należeć i ja — wójt Peniuk się uśmiecha pod wąsem. Widocz-nie to zaufanie gospodarzy mu po-chlebia. — Patrzyliśmy na jakoś, a nie na ilość. Chodziło nam o to, by członków spółdzielni cechowała wspólna myśl, wspólna intencja. I aczkolwiek jest nas tylko 29 — spodziewamy się wielkich wyników. Nielatwo to poszło... — mówi Pe-niuk i myślimi się cofa do tych niedawnych, a tak przecież odle-głych czasów. — Ileż to trzeba było zwalczać uprzedzeń, złej woli, głupoty ludzkiej, przesądów, zadow-nionych przyzwyczajęń, bo to — wiecie — w Bojadle jest przedziw-na mieszanka ludzka. Z Podkarpacia (jak ja sam), z Wołynia, z Wileńszczyzny, z woj. łódzkiego, z Wielkopolski i skąd tam jeszcze. Najrozmaitsze sposoby myślenia, go-spodarowania... Zrazu to było, jak wiecie, rozmaicie. Ludzie musieli się dopiero poznać, zgrać. A teraz to nawet niczego. Żenią się pomię-dzy sobą i to jest najlepszy spo-sób na zbliżenie.

Śmieje się, śmiejemy się wszy-scy. Tymczasem na ulicę wychodzi minister Dybowski i zbliża się do kiosku z książkami, obłożonego przez dzieciarnię. Rozmawia ze sprzedawcami, wypytuje dzieci. Wójt Peniuk chwilę przygląda się temu obrazowi i zapewne porów-nuje go z napuszoną wystąpię-dygnatryczką owych przedwojen-nych czasów. I nie byłby dobrym wójtem swojej gminy, gdyby oka-zi przybycia tak licznego zespó-lu pracy nie zechciał przekuć na swoje potrzeby. Teraz więc mówi

MIECZYŚLAW KWIATEK

AWANS MŁODZIEŻY ZE SZCZYTNIK

(fragment reportażu)

Szczytniki to wieś biedota, mało i średnioludnych chłopów. Przed wojną w 1939 r., czterech nas ty-lko ukończyło 7 oddziałów szkoły powszechnej. Byli to synowie ma-łorolnych chłopów, mianowicie: Dzik Stanisław, Socha Jan, oraz dwóch braci Kwiatków.

Reszta zadowolili się ukończe-niem 4 oddziałów, co w rezultacie znaczyło uciec się podpisać i to jeszcze nie zawsze.

Tak to przedstawiało się w 1939 r. młode pokolenie chłopów wsi Szczytniki, wsi, mającej nawet przydomkowi „polityczna”.

Cóż dzieje się w Szczytnikach po wojnie, jakie zaszły tu zmiany, co dzieje się z młodzieżą?

Otóż zaszły tu zmiany ogromne. Janek Socha ukończył jeszcze pod-czas wojny szkołę oficerską, awan-sując szybko na porucznika. Czyna-ło również: Kwiatek Czesław i Dzik Janek. Po raz pierwszy w historii Szczytnik na ramionach chłopskich synów zabłysły szlify oficerskie. Sy-nowie wsi członkowie Batalionów Chłopskich stanęli w szeregach od-rodzonego wojska, by stać na stra-ży zdobyczy państwa ludowego.

— Gdzie macie swego Władka? — pytam spotkanego na drodze Ra-

dosza. — Władek? hm! cóż to nie wieś, przecież on studiuje na uni-wersytecie w Toruniu i jest już na drugim roku prawa.

— Tak — powiada uradowany Radosz — Władek chce zostać pra-wnikiem. Czy on kiedy choć marzył o tym, zresztą, Ty wiesz przecież najlepiej, że nie wiele sobie obaj rokowaliście na przyszłość, kiedy to jeszcze razem pasaliście krowy. Tak, tak, czasy się zmieniają! — No, ale Tadek to chyba w domu, py-tam? — Ale, skądże, jak poszedł do wojska, tak i nie wrócił. — A co, może jakie nieszczęście się sta-ło — pytam zdziwiony.

— Nie — śmieje się Radosz, zo-stał na zawodowym w wojsku! Ostatnio był nawet na urlopie, do-brze ubrany i zadowolony. Powiada, że bardzo dobrze zrobił zostając w wojsku. Obecnie, jako zawodowy podoficer pracuje w War-szawie. A no jakos ta teraz dzieci dają sobie radę i ojcu jeszcze po-mogą.

A cóż myślicie robić z Mie-tkiem? — Mietek pójdzie do gim-nazjum. Z nim to już będzie łatwiej, bo mu chłopaki pomogą.

— No dobrze — pyta Radosz — przecież i ty jesteś — w szkołach.

Czemże myślisz zostać? — Ja? Chodzę obecnie na Akademię Nauk Politycznych. — Tak — powiada Radosz — pamiętam, jak przed woj-ną, kiedy chodziliśmy jeszcze do szko-ły powszechnej do Skrobaczowa, na-uczycielka chciała Cię ze szkoły wy-rzucić za to, żeś zaglądał na zebra-nia Stronnictwa Ludowego. A po-patrz dziś, jaka to różnica — nie-bo i ziemia. — A gdzie jest te-raz twój brat Czesław, przedtem wiem, że pracował w gminie, a już kilka miesięcy jak wyjechał. Szko-ła, bo on zawsze szybko chłopom załatwiał.

— Czesław jest teraz w Warsza-wie, pracuje w Spółdzielni mięsnej w charakterze buchaltera.

Idąc po drodze spotykam Kału-żę, który, zadowolony ze spotkania, zaprasza mnie do mieszkania. W ro-zmowie zapytuje go o syna Edka. — Edek — powiada — jest przeciw w Łodzi, chodzi do liceum. Jest oka-za, a chce się uczyć, niech się uczy, bo ja nie mogę, a wiem, co daje nauka człowiekowi w życiu!

Kaluża, to stary działacz ludo-wy. Pamiętam jeszcze, jak byłem mały, odbywały się u niego zebra-nia organizacyjne SL, gdzie często zachodziłem, za co omal nie wyrzu-coono mnie ze szkoły.

Duże zmiany zaszły wszędzie w ciągu tych paru lat. Weźmy nasze Szczytniki. Ileż to młodzieży otwar-ło sobie drogę na szeroki świat.

Wszystko się uczy. Ci, którzy do-rośli już wcześniej i na naukę za-późno, powiększali na zachód do-fabryk, gdzie pracują i dobrze im się powodzi. Wiadomo — wszyscy na wsi nie mogą siedzieć, zresztą, nie chcą.

— Na wsi — powiada Kaluża — zrobiło się już bardzo duszno, za-dużo było ludzi, bo pomyśl tylko, kto przed wojną z naszych Szczyt-nik do miasta wyjechał, do szkoły, czy do fabryki, nikt! A dziś? Ko-losalna różnica!

A którzy, to wyjechali do fa-bryk — pytam, bo już przecież dość dłu-gu to nie byli. — Stefka Boż-kowa, Stefka Sala, Karol Taraska, Genka Brevińska, Broniek Dybek — wylicza Kaluża. Są to córki i syno-wie małorolnych chłopów. Po krótkiej i serdecznej rozmowie z Kalu-żą powracam zamyślny drogą.

Rzeczywiście — wielkie zaszły tu zmiany, myślę. Ileż to pokoleń cze-kało w biedzie i nędzy długie wie-ki na to co zaszło obecnie w Szczyt-nikach. — I udam — myślę — przypa-dło w niezale być spadkobiercą tej wielkiej idei, tego potężnego kroku naprzód w życiu postępowej ludzko-ści. Runął więc przez tyle wieków budowany „mur chiński” mający trzymać wieś poza nawiasem życia i postępu. Obaliła go klasa robot-nicza.

— I to dobrze pojmuję, bom za dzie-cka miał ciężkie życie. Ojciec mi odumierał kiej miałem 6 roków. Przyszedł ojczym — i nie biął mnie. O o o, on mnie nie biął! — podniósł głos nabrzmiały gorzka ironią — tego nie mogę powiedzieć, żeby mnie biął — bo z kłjem do mnie nie wychodził — roześmiał się i wyjaśnił, kładąc nacisk na każde słowo: — Ino z podkutym obcasem! — Zamyślony nad swoją młodością wrócił za chwilę do to-ku opowieści: — kiej bym se ino przy robocie stęknął, chwytal mnie za uszy, podnosił w górę i obca-sem dawał kopniaka. Wtedy miałem dość. Nawet tego stęknienia mi się odniechało. Toteż choć cho-dziłem do szkoły 7 roków nie nau-czyłem się nic. Bo to szkolne ucze-nie to było takie: od Bogażo Naro-dzenia chodziliśmy do Wielkanocy Święt — i to tylko jak, kiej było w chałupie mniej roboty. To i nie dziwiota, że niczego nie poiał i ni-czego się nie nauczył. — Wykonu-jąc okragły ruch niby siewca, za-garnął boisko ręką i dokończył z-mocą. — Dlatego — to Polska Ro-botnicza to jest — po prawdzie ro-botnicza.

Kościńska Marianna

JAN KOPROWSKI

NA 1 MAJA PÓJDIEMY RAZEM

Od chwili, gdy zaczęła się reali-zować w codziennej praktyce idea sojuszu robotniczo-chłopskiego, gdy pierwsze ekipy fabryczne wyruszy-ły na wieś z pomocą dla chłopów, ci ostatni poczęli pojmować, że dzi-siaj miasto to nie wróg, że robot-nik fabryczny to sprzymierzeniec i przyjaciel. Brygady łączności, przyjeżdżające po tygodniu wyteżo-nej pracy przy warsztacie w dzień wolny od zajęć (najczęściej w nie-dziele), utwierdziły mało i średnio-rolnych chłopów w przekonaniu, że sojusz robotniczo - chłopski to nie mamidło, lecz szczerą, realną, opar-tą na świadomości klasowej, pomoc miasta dla wsi.

Dopiero kontakt z robotnikami — powiedział kierownik ośrodka ma-szynowego w Piastowie Florian Ko-zik — nauczył mnie wielu rzeczy, których przedtem nie widziałem i nie wiedziałem. Gdyśmy zakładali nasz ośrodek, potrzebne nam były maszyny i różne urządzenia. Zbiera-liśmy po wsi, co się dało i co kto przekazał. I wiecie, bogacze także oddawali. Jeden nawet, Zapalski, od-dał siewnik. Ja tam — mówię — nie jestem temu przeciwny. O, ma-nie, przekazuję wam ten siewnik dla ośrodka maszynowego. Dopiero, gdy przyjechali ślusarze z fabryki i obejrzel siewnik dokładnie, to się okazało, że jest on całkowiec zni-szczony i do niczego niezdający. Od kogo ten siewnik — zapytali. Po-wiedziałem im i pojechaliśmy wte-dy do Zapalskiego razem z nimi. I co się pokazało? Ano, że Zapal-ski miał dwa siewniki, ale ten do-bry zatrzymał dla siebie. A potem rozgadzywał po wsi: „widzicie, jak-tam oni graty mają w tym ośrodku. A państwo niby, rząd na nich łoży.

Przyjechali tu, wiecie, do nas robotnicy z fabryk z teatrem. Grali, śpiewali, mówili piękne wiersze. Bar-dzo nam się to wszystkim spodoba-ło. A po przedstawieniu zrobiliśmy wspólną naradę. Bo my też chcie-liśmy urządzić taki teatr. I co po-wiecie? Powstanie i u nas zespół. Oni nam pomogą. A jak się nau-czymy, to pojedziemy do nich do miasta, pokazać, co umiemy. Bo te-raz to już tak musi być zawsze: miasto i wieś to jedno. Dosyć nas już te psułaty mikołajczykowski-e naszarzyły między sobą.

Na terenie Dolnego Śląska proces pogłębiania się sojuszu robotniczo-chłopskiego postępuje szybko na-pród. Oczywiście sojusz ten stoi ością w gardle kapitalistom i kula-kom. Nie mogą się oni z tym po-godzić, że władza nad biedniakami wysunęła im się z rąk, powiedzmy lepiej: została im wytracona przez uświadomioną klasę robotniczą miast i wsi.

Akcja łączności, która zaczęła się od pomocy technicznej dla wsi, roz-szerzyła się i na inne tereny życia. Dziś rola brygad remontowej nie ogranicza się do naprawy uszkodzo-nych maszyn lub też funkcjonują-ych narzędzi rolniczych. Po pra-cy robotnicy zasiadają wraz z chło-pami w wiejskiej świetlicy, rozma-wiają na bieżące tematy, dyskutują. Rośnie i umacnia się światopog-ląd socjalistyczny.

Chłopi nie poprzestają na podzię-kowaniach za pomoc techniczną. Oni chcą wiedzieć, co się dzieje w mieście, w fabryce, na dalekim świecie. Ufają robotnikom, wierzą im, nie widzą między sobą róż-nic, widzą wspólny interes klasowy.

Toteż — coraz — trądniej spotkać dziś chłopca, któryby nie znał wy-darzeń zachodzących na arenie mię-dzynarodowej lub — co znacznie ważniejsze — nie orientował się w celach politycznych narodów świata.

Oto, co np. mówi na ten temat średnioludny chłop Bączek z Krep-nowa:

— Cała ta sprawa jest jasna jak słońce. Po jednej stronie obóz po-koju: Związek Radziecki, Polska i kraje demokracji ludowej, a po dru-giej: krwawiciele — Ameryka, An-glia i ci, co im się poddali.

A czego chcą ci imperialiści? A toż każde dziecko wie: wojny. Oni organizują szpiegostwo, podżegają narody przeciwko sobie, szcują, im nie w smak, że my tu pragniemy roboty, pokoju i lepszego szczęścia dla człowieka.

— Ale i tam lud się buntuje. Widzi-cie, w takiej Francji na ten przy-kład robotnicy nie chcieli wyłado-wywać armat przysyłanych na okrę-tach z Ameryki. Rząd ich zamyka do więzienia, ale oni się buntują, walczą, przyjdzie taka chwila, że zwyciężą. Bo lud chce pokoju, swo-body. Do wojny pra tylko bruchaci kapitaliści, mordercy, handlarze, któ-ry robią na wojnie brzydkie i gru-be interesy. Oni nie stoją o robot-ników, ani o chłopów, tylko o swo-je kieszenie. Ale ich garstka a nas siła. I co dzień nas więcej. Robot-ników i chłopów więcej w świecie niż tych katów.

Biedny chłop pragnie nade wszyst-ko pokoju. Szczęście i dobrobyt wsi widzi on tylko w ciągłej nie-magowej zawieruchce wojennymi pracami, w stałym postępie przemysłowym i gospodarczym.

Chłopów tak rozumujących jest coraz więcej. I w tym tkwi wiel-kie niezaprzeczalne zwycięstwo wła-dzy ludowej.

— My na 1 Maja — powiedział Nowak, jeden z takich właśnie chłopów — będziemy maszerowali tak samo jak robotnicy. Bo to tak-że nasze święto. Niech tam ci zza oceanu widzą naszą potęgę i niech im skóra ciernie na grzbiecie.

W tym dniu pierwszomajowym, towarzyszu Nowak, pójdziemy wszyscy manifestować swoją wolę pokoju i siłę idei socjalistycznej: i robotnicy, i chłopi, i pisarze.

Mieczysław Kwiatek

Jan Koprowski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6 wewn. 23 i 16.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „C Z Y T E L N I K”
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za twz. „Wies”
Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Osw. „Czytelnik” Marszałkowska 3/5.
B-101437